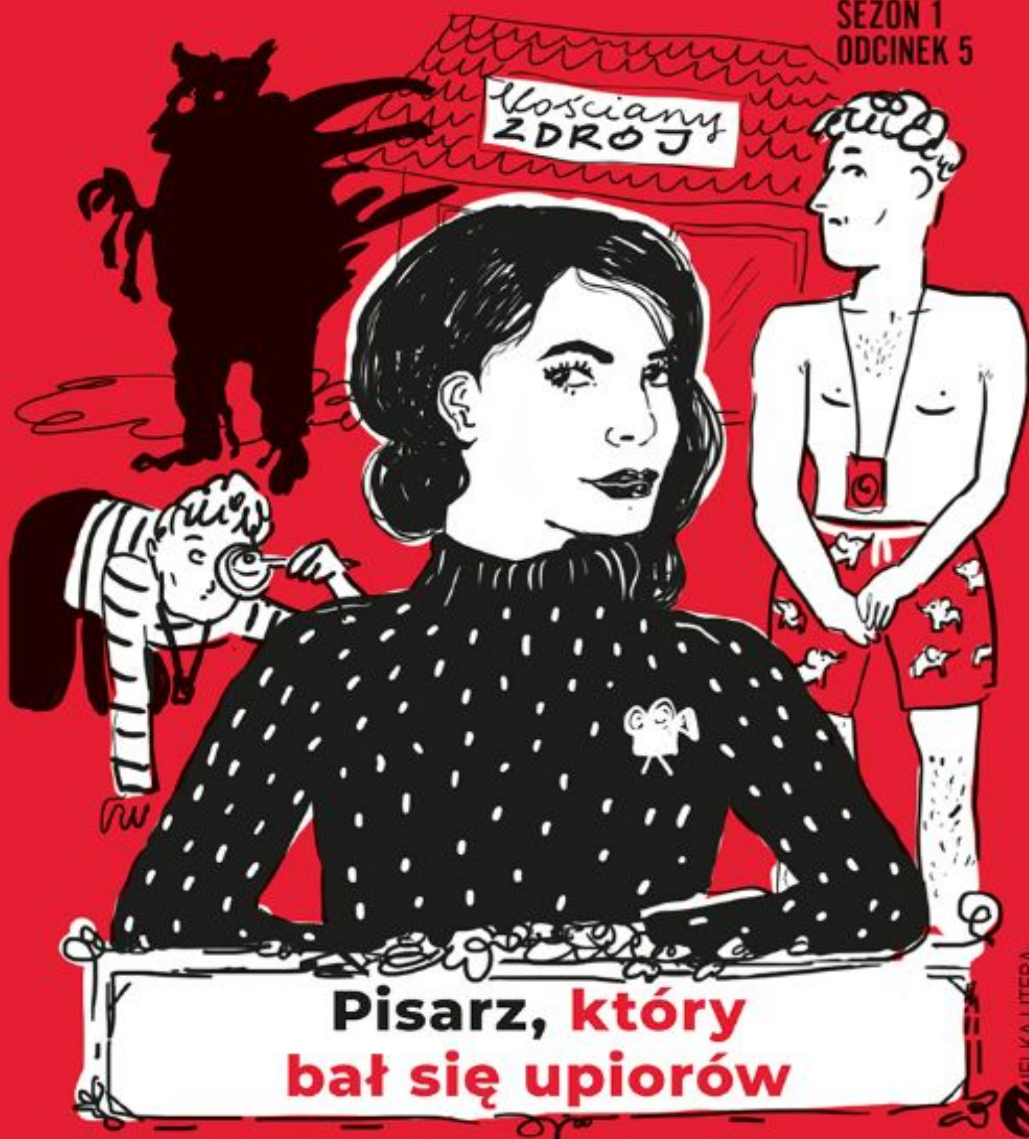


MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

SEZON 1
ODCINEK 5



**Pisarz, który
bał się upiórów**

MIELKA LITERA



MARTA GUZOWSKA // LESZEK TALKO

LUCJA SŁOTKA

**Pisarz, który
bał się upiorów**

Projekt graficzny okładki
Porysunki / Magda Danaj

Redaktor prowadząca
Monika Koch

Redakcja
Berenika Wilczyńska

Korekta
Teresa Zielińska
Ida Świerkocka

Copyright © by Marta Guzowska i Leszek Talko, 2022
Copyright © by Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2022

ISBN ISBN 978-83-8032-843-3



Wielka Litera Sp. z o.o.
ul. Kosiarzy 37/53
02-953 Warszawa

Konwersja: eLitera s.c.



odwiedź nas na

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 1

Mgła snuła się nad ziemią. Powykręcane gałęzie przypominały wyrastające znikąd ręce, usiłując pochwycić każdego, kto próbowałby przejść. Światło księżyca tylko gdzieniegdzie zdołało się przebić przez pokrywą liści i las był pogrążony w niepokojąco nieodgadnionym mroku. Z ciemności dobiegały szmery, piski, a czasem głośniejszy dźwięk, po którym zapadała krótka cisza.

Ewa oddychała szybko, urywanie. Biegła przez wąski rów, smagana gałęziami krzewów i drzew. Od czasu do czasu oglądała się za siebie z przerażeniem w wielkich błękitnych oczach. Julia z trudem dotrzymywała jej kroku. Rana na brzuchu krwawiła. Dziewczyna próbowała obwiązać ją prowizorycznym opatrunkiem, ale nie mogła się zatrzymać. Jej ubranie było w strasznym stanie. Koszulka, niegdyś biała, a teraz zgniłozielonej barwy szlamu, zwisała podarta, tak że widać było ciało. Krótkie szorty nigdy nie ukrywały zbyt wiele, ale po przeprawie przez las nie zostawiały już żadnego pola wyobraźni, odsłaniając pupę i w zasadzie wszystko. Nie lepiej było z ubraniem Ewy – dawno już straciła krótką spódniczkę i została w skąpych majteczkach oraz koszulce na ramiączkach, która nieomal opadła, pokazując kształtny biust. Mimo przejmującego jesienno zimna na prawie nagich ciałach obu dziewczyn perlił się pot.

– Słyszałaś? Co to było? – szepnęła Ewa.

Kolejna seria trzasków w głębi ciemnego lasu spłoszyła jakiegoś ptaka, który przerażony załopotał skrzydłami i wzbił się w powietrze.

– Wiesz, że to on – wyszeptła Julia. – Nie możemy się zatrzymać. Wciąż mamy szansę.

– A Adam?

– On już nie wróci. – Głos Julii się załamał. – Musisz być dzielna.

Obie dziewczyny biegly resztkami sił i tylko zagrożenie sprawiło, że w rozpaczy i desperacji przedzierały się dalej. Nagle Ewa potknęła się i upadła. Usiłowała się podnieść. Bezskutecznie. Julia zawahała się przez moment. Popatrzyła na Ewę, której stopa obsunęła się na mokrych kamieniach i utkwiała pod wielkim głazem. Spojrzała jeszcze raz za siebie, w ciemność, skąd dobiegały złowróżbne trzaski. I coraz głośniejszy dźwięk ciężkich kroków.

– Ewa, wstawaj! Musimy uciekać! – błagała Julia.

– Nie mogę już. Idź beze mnie – jęknęła Ewa, usiłując wyrwać stopę spod kamienia.

Szuranie i trzaski zbliżały się coraz bardziej. Julia z rozpaczą spojrzała przed siebie, po czym chwyciła Ewę za rękę i pociągnęła. Desperacja dodała jej sił. Ewa uwolniła stopę, za to straciła kolejne części i tak już skąpego odzienia.

– Biegnijmy! – krzyknęła. – Zobacz, drogowskaz. Mamy stąd tylko dwa kilometry do Kościanego Zdroju.

W tym momencie z krzaków wypadł nieokreślony kształt i z charkotem rzucił się na Ewę. Wielka łapa zerwała z dziewczyny resztki koszulki, a pazury pozostawiły krwawe smugi na plecach.

– Nie, nie, nie! – ryknął ktoś i nagle obok dziewczyn pojawił się wysoki mężczyzna w średnim wieku, który usiłował ukryć swoje lata za pomocą długich włosów związanych w kiték i okrągłej czapeczki umieszczonej centralnie na czubku głowy.

– Nie, nie, nie! – wrzasnęła Ewa.

– Nie, nie, nie! – zawtórowała jej drobna blondynka w za dużej bluzie, która też weszła na leśną drogę.

– Nie, nie, nie! – zawył nieokreślony kształt, który po bliższym przyjrzeniu się okazał się skrzyżowaniem mumii z wilkołakiem. Przy czym nie było to połączenie szczęśliwe. Różne części stwora powiewały na wietrze i sprawiały wrażenie, jakby lada chwila miały odpaść. Jednak co najgorsze, czerwono jarzące się w ciemności oczy nagle zaczęły zmieniać kolor na pomarańczowy, potem fioletowy, który następnie płynnie przeszedł w niebieski, żółty i wreszcie biały. – Niech ktoś coś zrobi z tymi oczami!

Rozdział 2

Nie wiem, czy często zdarza wam się przebywać w obecności upiórów narzekających na swój los. Jeśli nie, moglibyście być zdziwieni, jak długą wiązką przekleństw potrafią puścić, nie powtarzając się przy tym ani razu. Co jeszcze ciekawsze, upiory nierzadko mają spore problemy z zachowaniem swojego upiornego kształtu w jednym kawałku. Tak właśnie było z tym, który stał przede mną. Kiedy przemykał między krzakami, mógł wzbudzać zaniepokojenie. Teraz jednak, w blasku reflektorów, budził raczej litość. Jedno z ramion odcepilo się i wystawało spod niego chude przedramię aktora. Maskę również nadwyryżyło przedzieranie się przez krzaki i jej dolna połowa bujała się wesoło w prawo i w lewo. Ponieważ była to ta część z zębami (najwyraźniej upiory też je mają, i do tego mocno żółtawe i krzywe), całość wyglądała przekomicznie. Zwłaszcza że oczy upiora wciąż zmieniały kolor jak lampki choinkowe.

– W takich warunkach nie można pracować – biadolił upiór.

– Zaraz coś zrobimy z tymi oczami – obiecała drobna blondynka w zbyt dużej bluzie.

Wiedziałam, że to ona jest reżyserką, i to cenioną. Jagoda Szrama dostała w tym roku nagrodę za najlepszą adaptację teatralną i jej oparta luźno na Beckettcie sztuka *Doczekałam się na Godota* okazała się prawdziwym hitem. Moglibyście się długo zastanawiać, co robiła teraz w tym lesie, reżyserując horror i zmagając się z awarią podświetlenia oczu upiora, ale oszczędzę wam wielogodzinnych rozważań. Powodem był, jak się dowiedziałam (a ja prędzej czy później dowiaduję się wszystkiego), kosztowny rozwód. W takich sytuacjach ludzie biorą zlecenia jak leci, również horrory.

– Ja się pytam, skąd nagle w dialogu Kościany Zdrój? – zahuczał basem mężczyzna z kitką i w czapeczce, skądinąd mój klient. A właściwie człowiek, którego miałam pilnować. Błażej Straszny, najpopularniejszy w Polsce autor horrorów, którego niewydaną jeszcze książkę *W sennym lesie na uroczysku*, gdzie trwa zło właśnie ekranizowano. Pod cokolwiek skróconym tytułem *Las zły*.

– Panie Błażeju, przecież już o tym rozmawialiśmy – westchnęła Jagoda Szrama. – Miasto Kościany Zdrój sponsoruje nasz film. I chcę, żeby nazwa padała na ekranie. Nie ma nic złego w tym, że bohaterka martwi się, że do miasta zostały dwa kilometry.

– Wystarczy najazd kamery na tabliczkę z nazwą miejscowości – upierał się Błażej Straszny.

W świetle reflektorów wyglądał młodziej i podkreślał to nie tylko kitką, ale też ubiorem: wystrzępionymi czarnymi dżinsami i czarną bluzą. Ale skończył już pięćdziesiąt lat, więc upodobnienie go do mrocznego przedstawiciela generacji Y przekraczało możliwości czapeczki, bluzy i dżinsów.

– Przecież zmieniliśmy ten dialog – przypomniała reżyserka. – Nie pamięta pan? Początkowo Ewa mówiła: „Mamy jeszcze tylko dwa kilometry do Kościanego Zdroju. Marzę, żeby znaleźć się w tężni solankowej. Jest otwarta do północy i czuję się tam jak w niebie”. Na co Julia dopowiadała: „A zabiegi w tamtejszym spa przynoszą ukojenie nie tylko ciału, ale i duszy. Przy tym są śmiesznie tanie”. Tyle że panu się nie podobało.

– Bo czy dziewczyny ścigane przez upiora z bagien zastanawiałyby się nad wyceną usług upiększających? – warknął Błażej Straszny. – Nie rozumiem, jak ten idiota Jakub mógł coś takiego wpisać do scenariusza.

– Ja sobie wypraszam! – fuknął mężczyzna, który wkroczył na scenę.

Kłótnia zaczynała wyglądać na całkiem niezłe przedstawienie teatralne, więc przyglądałam się z zaciekawieniem. Choć było mi trochę żal upiora z bagien, o którym jakby

wszyscy zapomnieli. Monstrum usiadło więc na uboczu i usiłowało wcisnąć na miejsce świecące różnokolorowe oko, które niestety wciąż wypadalo. Oj, nie była to rola życia Huberta Ciemnickiego. Obawiałam się nawet, że mogła zakończyć jego dobrze zapowiadającą się karierę.

– Nigdy bym nie umieścił w scenariuszu dialogu o spa i cenach zabiegów – zaznaczył z naciskiem ostrzyżony na jeża mężczyzna noszący grube okulary w czarnej oprawie, które nadawały mu wygląd sowy. Jakub Blizna, scenarzysta horroru, miał za sobą świetnie ocenione scenariusze do filmu *Tak daleko stąd*, nazywanego powrotem do polskiego kina moralnego niepokoju. Napisał też scenariusz do miniseriale *Panie do wszystkiego* o życiu służących w międzywojennej Warszawie. O ile wiedziałam, nigdy jednak nie pracował nad horrorem. – Sponsor to wpisał.

– Zapłaciliśmy pół miliona, żeby zaistnieć w filmie. – Na oświetlonej reflektorami scenie pojawił się kolejny uczestnik dramatu. Ten z kolei był niski, korpulentny, łysiejący. Miał bardzo poważną minę, przypisywaną ludziom obdarzonym władzą i odpowiedzialnością za jej sprawowanie oraz wielkim poczuciem godności i własnej ważności. Mógłby grać rozdzieranego wątpliwościami króla Leara, ale tak się złożyło, że był burmistrzem Kościanego Zdroju i nazywał się nie Lear, lecz Zdzisław Trupik. – Za taką sumę możemy chyba wymagać, żeby w filmie pojawiła się nazwa miasta, które gości ekipę. A przypomnę jeszcze, że dodatkowo opłacamy z budżetu promocyjnego miasta transport, noclegi i wyżywienie dla całej ekipy filmowej.

– W menu brakuje opcji wegańskiej – poskarżyła się Jagoda Szrama.

– Słucham? – zdumiał się Trupik.

– Od trzech dni chodzę głodna – zirytowała się reżyserka. – Nie ma nic dla wegan.

– Przecież sam dopilnowałem, żeby były posiłki bezmięsne. – Burmistrz zmarszczył brwi. – Codziennie mają państwo do wyboru kotlety schabowe, gulasz wołowy i kotlet dewolaj.

– Z czego jest ten kotlet? – dopytywała Szrama.

– Z kurczaka, jak to dewolaj. – Trupik wrzucił ramionami. – Kurczak to przecież nie mięso.

Reżyserka złapała się za głowę.

– Mówiłam wyraźnie: dieta wegańska. Czyli nie tylko żadnego mięsa, ale też jajek i mleka.

– A jaja to też mięso? – Trupik zdębiał. – My tu, w Kościanym Zdroju, zdrowo się odżywiamy. Wie pani, ile lat ludzie u nas żyją? Ostatnio wręczałem medal pani Jadwidze, która dożyła stu pięciu lat. I dalej nie spieszy jej się do umierania. A codziennie je dewolaja. To znaczy jadła, dopóki miała zęby.

– Panie Zdzisławie, nie wytrzymam tylu dni na samych ziemniakach – postawiła się Jagoda Szrama.

– Też są pożywne, masełkiem oblane, ze zsiadłym mlekiem... – rozmarzył się Trupik.

– Czyli niewegańskie.

– Dobrze już, dobrze. Załatwię. Będzie ryba. – Burmistrz machnął ręką. – Czy to też mięso?

Kobieta wzniosła oczy do nieba.

– Możecie już skończyć to masterszefowanie? – zapytał z niesmakiem Błażej Straszny. – Chciałbym przypomnieć, że nie kręcimy filmu krajoznawczego o urokach Kościanego Zdroju ani programu kulinarnego, tylko horror. Na podstawie mojej powieści. Najstraszniejszy horror roku. A wy zastanawiacie się nad cenami spa i tym, że upiorowi włącza się podświetlenie oczu.

– Mam od tego zapalenie spojówek – poinformował upiór, który wyrósł nagle za jego plecami. – Nie mogę pracować w takim świetle. Te efekty specjalne w ogóle się nie spraw-

dzają.

Błażej Straszny podskoczył, jakby zobaczył... upiora. Potem wziął głęboki wdech i burknął:

– Proszę mnie tak nie straszyć.

– Jakby był budżet, toby się sprawdzały – naburmuszyła się tęga kobieta z burzą dredów, która zaczęła grzebać monstrum przy oczach. – A tak to musiałam ściągnąć te diody awaryjnie z AliExpressu. Wstyd się przyznać. Mówiłam, że nie są wodoodporne. Po co pan wpadał do kałuży?

– Na litość boską, to przecież upiór z bagien. To jego naturalne środowisko. Musi mieć wodoodporne oczy – jęknął Błażej Straszny.

– Nikt mnie wcześniej nie poinformował, że oczy mają być odporne na przebywanie w bagnach – odcięła się kobieta, skądinąd ceniona scenografka i autorka efektów specjalnych do kilku nagradzanych spektakli, choćby adaptacji *Makbeta* w Teatrze Dramatycznym. Ale jej nazwisko sugerowało, że to horror powinien być jej żywiołem. Nazywała się Anna Potworowska.

– A gdzie indziej miałyby żyć upiór z bagien? – zirytował się Blizna.

– Nie miałam apejtu o upiorze. – Scenografka zmarszczyła brwi.

– Monstrum występuje od strony dwudziestej siódmej scenariusza – poinformował ją Blizna. – Jakim cudem mogła pani je przeoczyć?

– A kto ma dziś czas czytać scenariusze? – Potworowska wzruszyła ramionami. – W zeszłym tygodniu robiłam scenografię w Düsseldorfie, dwa tygodnie temu pracowałam w Bergamo. A tu nagle dowiaduję się, że ma być jakiś upiór i mieć wodoodporne oczy. Czemu nie, mogą być nawet przeciwpancerne, ale potrzebny mi na nie budżet. Budżet!

– Na razie muszą wystarczyć te, które masz – powiedziała z naciskiem Jagoda Szrama. – Czekamy na informację, czy dostaniemy dofinansowanie od producenta samochodów.

– A zęby? Całkiem odpadły – dodał upiór, ale nadal nikt nie zwrócił na niego uwagi. Tylko aktorka, która grała Julię, podeszła bliżej. Coś wyszeptwała, a upiór się uśmiechnął, przynajmniej na ile dało się to dostrzec spod jego odpadającej zuchwy.

– Wciąż nie wiem, czy scena ucieczki Marceliny samochodem wchodzi do filmu, czy nie – zauważył Jakub Blizna.

– A czy moja postać mogłaby być bardziej zaawansowana, jeśli chodzi o rozwój duchowy? – spytała Marcelina Nocna. Filmowa Julia, a prywatnie narzeczona pisarza, odsunęła się od upiora i podeszła do grona dyskutantów. Nadal miała na sobie resztki koszulki i niewiele więcej. – Mam wrażenie, że ona przez cały czas tylko ucieka.

– Bo to horror, kochanie – zwrócił jej uwagę Błażej Straszny i objął ją czule.

– Wiem przecież! – fuknęła zirytowana.

Na żywo była ładniejsza niż na zdjęciach w kolorowych magazynach, które nazywały ją polską Ritą Hayworth. Z Rity miała rude włosy i figurę. Podobno również charakter. Co do talentu, opinie były podzielone.

– Nie jestem głupia – zżymała się dalej. – Ale czy moja bohaterka nie mogłaby mieć jakiejś rozterki moralnej? I jednocześnie innego celu, oprócz uratowania życia? Motywacji? Może coś związanego z ekologią?

– Nie wyrobimy się czasowo. – Blizna pokręcił głową. – Dodatkowy wątek to kwadrans filmu.

– Poza tym nie ma budżetu na efekty – sarknęła Potworowska. – Ekologiczne są szczególnie kosztowne, kochana.

– To może upiór mógłby być powiązany z ekologią – zasugerowała Marcelina. – Powiedzmy: stanowiłby efekt modyfikowania żywności i majstrowania przy DNA. O tym się

dziś mówi. Wysłałibyśmy sygnał do ludzkości. A poza tym miałabym co opowiadać w wywiadach: że przestrzegamy przed grzebaniem w genach, katastrofą i tak dalej.

– Na miłość boską, przecież to monstrum powstało tysiąc lat temu, na skutek prasłowiańskich czarów, a nie modyfikowanej żywności – jęknął Błażej Straszny.

– Można by to w sumie zmienić... – zastanowił się Blizna.

– Zabraniam! – krzyknął pisarz. – Wszyscy chcą wszystko zmieniać. A to film oparty na moim dziele literackim. Moim!

– Ale Misiaczk, gdybym była ścigana przez upiora powstałego na skutek manipulacji genetycznej, miałabym większe pole do popisu. – Marcelina uśmiechnęła się przymilnie do narzeczonego, wspięła się na palce i dała mu całuska.

– Wtedy można by nakręcić scenę w laboratorium, tam nie byłoby tak zimno. – Jagoda Szrama otuliła się ciałniej kurtką.

– Dałoby się wpisać laboratorium – uznał Blizna. – Przełamałoby monotonię lasu i bagien.

– Monotonię?! Czytelnicy kochają posępny klimat bagien – oburzył się Błażej Straszny. – Właśnie dostałem mejla: „Panie Błażeju, przeczytałam pańską książkę i wciąż jestem pod wrażeniem posępnego prasłowiańskiego lasu, który pan opisał. Nie mogę się doczekać wyjazdu, żebym mogła sama go zobaczyć”.

– No to się babka trochę rozczaruje pradawnym lasem na odludziu – mruknął upiór alias Ciemnicki.

Miał rację. Wyszliśmy właśnie z gęstwiny prosto na wyłożony kostką bauma parking przy zajędzie.

– Prasłowiańskie uroczysko nie ma prawa znajdować się dwieście metrów od parkingu. Musimy znaleźć lepszą lokalizację sceny finałowej – upierał się Straszny.

– Panie Błażeju, znajdziemy, ale pan ma przecież kończyć swoją powieść – jęknął Daniel Pogrobny, mężczyzna, który mnie tu ściągnął. Był redaktorem naczelnym wydawnictwa Napisane i Wydane, które sprzedało dwieście tysięcy egzemplarzy poprzedniej książki Straszego i najwyraźniej miało nadzieję pobić ten rekord. Szanse były spore, prawa do ekranizacji nowej powieści poszły na pniu, jeszcze zanim autor ukończył tekst. Co jednak okazało się strategicznym błędem ze strony wydawnictwa. No, może nie sam fakt, że sprzedali prawa do sfilmowania nieukończony książki, tylko że powiedzieli o tym Straszemu. Ten bowiem tak się zaangażował w pracę na planie filmowym, że ani myślał siadać i dopisywać zakończenie. – Nadal nie wiemy, jak kończy się ta historia.

– Wykluczone. Jeśli na chwilę zjeżdżę z planu, to oni nakręcą film o mutacjach genetycznych i urokach Kościanego Zdroju. – Błażej Straszny potoczył wokoło groźnym spojrzeniem.

– Mnóstwo widzów chętnie zobaczyłoby piękno naszych okolic – rozmarzył się burmistrz.

– A nie mówiłem? – Pisarz pokiwał głową. – Nie spuszcze ich z oka.

– Musimy mieć tekst jak najszybciej – przypomniał Pogrobny.

– Ja tam mogę dokończyć scenariusz w pojedynkę. – Jakub Blizna wypowiedział ostatnie słowo z naciskiem. – Żeby nie było przestojów w produkcji. A potem pan Straszny napisze na tej podstawie zakończenie powieści.

– Niech pana ręka boska broni! – zagrział pisarz.

– Dlatego właśnie ściągnęliśmy panią, pani Lucjo – westchnął redaktor. – Za chwilę wszystko się posypie, a my za nic nie możemy sobie na to pozwolić.

Rozdział 3

Nie wiem, z czym wam się kojarzy zajazd góralski reklamujący się domowymi pierogami oraz golonką i grilllem. Być może z przerażającymi horrorami, mnie jednak przychodzi na myśl głównie niestrawność. Równie przerażająca.

Jednak burmistrzowi Kościanego Zdroju najwyraźniej zajazd góralski kojarzył się zupełnie inaczej.

– Tutaj mogłaby się rozgrywać akcja – przekonywał Trupik, kiedy zasiedliśmy przy wielkim drewnianym stole. – To miejsce wprost idealnie nadaje się na scenę finałową.

– Tu ma grasować upiór z bagien? – burknął Straszny. – Może pan nie zauważył, ale on panoszy się na bagnach. Dlatego właśnie ludzie go tak nazywają.

– Może przecież wyjść z błota i wślizgnąć się do Zajazdu Leśnego w poszukiwaniu ofiary – pociągnął swoją myśl burmistrz.

– On nie ma zwyczaju nigdzie się wślizgiwać. Czai się na ofiary na uroczysku, gdzie stoi stara chata – zirytował się Straszny. – I wszystko znajduje się na bagnach, a nie na wybrukowanym kostką bauma podwórku.

– Ale czy te bagna naprawdę są konieczne? – Trupik westchnął. – Widzowie mogliby pomyśleć, że Kościany Zdrój leży w niezdrowej, malarycznej okolicy. Tymczasem tereny u nas przepiękne, pełno tras spacerowych i ścieżek rowerowych o różnym stopniu trudności, dopasowanych do możliwości każdego turysty.

– Absolutnie konieczne! – Straszny zrobił się purpurowy. – Potrzebujemy zrujnowanej chatki, bagna oraz kotka, którego wciągnie do studni włochata łapa monstrum.

– Widzowie źle dziś reagują na przejawy okrucieństwa wobec zwierząt – skwitowała Jagoda Szrama.

– Przecież to upiór. Upiory tak mają, że wciągają do studni kogo popadnie. – Hubert Ciemnicki wzruszył ramionami. – To wyjdzie bardzo dramatycznie, Marcelinka tak ładnie odegra przerażenie na widok nieszczęsnego zwierzaka...

– Nie ma jej w tej scenie – zwrócił mu uwagę Jakub Blizna.

– A to szkoda – zmartwił się upiór.

– Ja mam dla państwa idealnego kota. – Trupik nagle zapalił się do pomysłu. Zerwał się od stołu i popędził gdzieś, roztrzając kelnerów.

– Opcja wegańska! – zawołała za nim Jagoda Szrama, ale zdaje się, że było to wołanie na puszczy. – Pani też chciałaby wegańską? – zapytała kobietę siedzącą w rogu stołu.

Beata Muerte była ubrana w dżinsy i biały T-shirt, włosy miała ściągnięte w kucyk, a na twarzy miły uśmiech i zero makijażu. W ogóle nie wyglądała na osobę decyzyjną, a już szczególnie nie taką, która podejmuje decyzje o projektach w jednej z największych platform streamingowych. Z tego co zdążyłam się dowiedzieć, wydawnictwo wiązało ogromne nadzieje z kontraktem z tą właśnie platformą. Serial na podstawie książki Błażeja Straszego miałby premierę na całym świecie i byłby pierwszym naprawdę kasowym polskim horrorem. Niestety tu pojawiał się pewien problem: Beata Muerte nie wiedziała, że książka i scenariusz nadal nie mają zakończenia. Wszyscy z obecnych dwoili się i troili, żeby się nie dowiedziała.

– Och, ja mogę zjeść cokolwiek. – Producentka machnęła ręką.

Zadzwoniła jej komórka. Właściwie to brzęczała bez przerwy. Zastanawiałam się, czy Beata Muerte ma dostęp do jakichś tajnych technologii NASA i zainstalowała w swoim aparacie specjalne baterie.

– Jak to dekoracje nie dotarły? – Zmarszczyła brwi i przez chwilę słuchała. – Muszą być za godzinę, inaczej ich wywalam. Tak. Godzinę. A właściwie to już tylko pięćdziesiąt dziewięć minut.

Odłożyła komórkę i promiennie się uśmiechnęła.

– Małe problemy na planie w Bułgarii – wyjaśniła. – Ale już załatwione. Lub zostaną załatwione za pięćdziesiąt osiem minut.

– Mam kota! – Trupik wbiegł do sali i z dumą uniósł wielkiego puchatego persa. – Poprosiłem żonę, żeby państwu wypożyczyła – pochwalił się. – Maksio chętnie zagra w filmie. A jakby dało się jeszcze jakąś gażę wygospodarować, żona byłaby zachwycona. Ma nadzieję, że Maksio zrobi karierę. Międzynarodową.

– W filmie kot mieszka na uroczysku – wycedził Straszny, patrząc na Maksia z odrazą. – Ile zna pan persów mieszkających na uroczyskach?

– Maksio wczuje się w rolę – zapewnił Trupik. – Przecież można go ucharakteryzować.

– Nie mamy budżetu na charakteryzowanie kotów – wtrąciła Potworowska.

– To ma być wiejski buras – poparł Strasznego Jakub Blizna. – Kot perski sugeruje zamieszany dom, tymczasem w scenariuszu jest biedna chatka i pradawna słowiańska maskara.

– To może lepszy byłby mały kundelek? – zaproponował burmistrz. – Wiejski.

– Koty to tajemnica i magia. – Pisarz pokręcił głową. – A kundelki to... kundelki.

– Żona ma jednego, zaraz przyniosę. – Trupik go nie słuchał. Wybiegł i po chwili pojawił się znów, tym razem z psem. Mniejszy od persa. Pies siedział w koszyczku, miał białutkie futerko i czerwoną kokardkę na szyi.

– To Żabulek – wyjaśnił burmistrz. – Żabulku, przywitaj się. On bardzo ładnie podaje łapkę – wyjaśnił jeszcze. – Jak chce.

– To jest kundelek? – zdumiał się Jakub Blizna. – To białe puchate... coś?

– Właściwie to maltańczyk, ale bez rodowodu – tłumaczył Trupik. – Czyli kundelek. Ale żona i tak go kocha, mimo że nie ma papierów. Może zastąpić kota.

– Kota najlepiej zastąpić kotem – przerwałam, wnosząc buraska, którego dostrzegłam wcześniej na parkingu, a teraz zważyłam na próg szyneczka.

– Idealny! – zachwycił się Straszny.

– Skoro mamy już kota, może pan siadać do pisania – odetchnął redaktor.

– Wykluczone – zaprotestował pisarz. – Nie mamy bagien. Ani chaty. Zacznę pisać scenę finałową, kiedy znajdziemy dla niej lokalizację.

– Bagna, błota, chata: żaden problem. – Trupik nadal był pełen energii, mimo że odrzucano Maksia i Żabulka. – My tu, w Kościanym Zdroju, mamy po prostu wszystko. Gdyby państwo poświęcili mi pięć minut, chętnie pokażę najnowocześniejszą fabrykę konserw w Polsce. Inwestycja francuska. Konserwy z kaczk i gęsi... Palce licząc.

Dostrzegłam, że reżyserka nieco zbladła. Jej wegańska dusza miała już chyba dość.

– Gdybym kiedyś chciał osadzić akcję w fabryce konserw, będę pamiętał – przerwał burmistrzowi Błażej Straszny.

– Czytałem o takim wypadku, że pracownik wpadł do kadzi i został przerobiony na konserwy – przypomniał sobie Trupik. – Oczywiście nie u nas! W naszym zakładzie to całkowicie niemożliwe. Mamy wszystkie atesty bezpieczeństwa i nawet mysz się nie prześlizgnie. Do konserw znaczy. Nie mówiąc o człowieku. Niemniej linie produkcyjne naprawdę robią wrażenie. No, a poza tym to nowe miejsca pracy i media mogłyby o tym wspomnieć.

– Z pewnością – zgodził się Jakub Blizna. – Tylko że my nie jesteśmy mediami, ale ekipą filmową.

Zadzwonił telefon producentki i ta westchnęła, wciąż się jednak uśmiechając.

– Przepraszam, to, zdaje się, ekipa z Finlandii. Kręcą mroczny kryminał w tundrze – wyjaśniła. Wstała od stołu i odeszła kilka kroków. – Jak to efekt cieplarniany? – rzuciła do

telefonu i słuchała osoby na drugim końcu linii przez mniej więcej osiem sekund. – Nie rozumiem. Rok temu była, a teraz nie ma? Zakwitła, zarosła, bo klimat się ocieplił? Co to znaczy nie twoja wina? A czyja? Trzeba było sprawdzić. Jak chcesz kręcić mroźną tundrę, skoro tam wszystko kwitnie?

Ponownie słuchała, ale tym razem najwyżej przez pięć sekund.

– Masz jeden dzień, a potem zrywam kontrakt – odparowała. – Ma być tundra, zima, szarości i nie obchodzi mnie, że kwitnie.

Odwróciła się w naszą stronę znowu z szerokim uśmiechem.

– Chwilę jeszcze mi to zajmie. Muszę wykonać kilka połączeń – oznajmiła i zniknęła w głębi sali.

– Słyszał pan, panie Błażeju? – Redaktor nerwowo przełknął ślinę.

– Tak, wiem, średnia temperatura roślinie o dwie dziesiąte stopnia i poziom oceanów stale się podnosi. – Pisarz przewrócił oczami.

– Nie mówię o oceanach, tylko o naszej producentce. Zwolniła już ekipy ze Słowacji i z Albanii, a teraz z Finlandii.

– A tych z Albanii za co? – zaciekawił się upiór.

– Kręcili film *Morderstwo pod palmami*, ale palmy ktoś ściął i zamiast tego nakręcili *Morderstwo pod platanami*. I cała ekipa poleciała. Układa się to w pewien wzór.

– Tundra, Albania, palmy... To się nie wiąże. – Upiór poprawił sobie odpadającą zuchwę, ale odkleiła się z drugiej strony. – Szlag może człowieka trafić.

– Mam jeszcze tylko jedną zapasową – ostrzegła charakteryzatorka.

– Układa się we wzór: pani Muerte wywała tych, którzy nie potrafili znaleźć właściwej lokalizacji – wyjaśnił redaktor. – A my nie tylko nie możemy jej znaleźć, ale nawet nie znamy zakończenia historii. Na szczęście ona o tym nie wie. – Ostatnie zdanie wyszeptał, rozglądając się na boki.

– Jak mam myśleć o zakończeniu, skoro wciąż mnie coś rozprasza? – burknął Błażej Straszny.

– Od tego mamy panią Lucję, żeby już nic pana nie rozproszyło.

– Według poprzedniej wersji ostatnia scena miała rozgrywać się w starym młynie. To był całkiem dobry pomysł – zadumał się Jakub Blizna.

– Tylko nie udało się znaleźć działającego młyna – zwrócił mu uwagę redaktor. – Ani starego, ani nawet nowego.

– Ja proponowałem przędzalnię. Mamy znakomity zakład – wtrącił się Trupik. – Bardzo malowniczy i działa bez problemów.

– Nie możecie ode mnie wymagać, żebym najważniejszą scenę osadzał w jakimś konkretnym miejscu tylko dlatego, że akurat działa – naburmuszył się Błażej Straszny.

– Nikt tego nie sugeruje – pospieszył z wyjaśnieniem redaktor. – Niemniej nie chcemy, żeby pani Beata odniosła mylne wrażenie, że nie wiemy, co się stanie w chatce na bagnach. I, co najgorsze, że jeszcze nie mamy ani tych bagien, ani tej chatki.

– Zrobione – usłyszałam głos producentki.

Wszyscy natychmiast umilkli. Jakub Blizna nie wytrzymał napięcia i zasłonił sobie dłonią usta.

Beata Muerte była w świetnym humorze. Usiadła przy stole, wykreśliła w notesie kilka pozycji i spojrzała na obecnych.

– Pokażecie mi tę ostatnią lokalizację? Tylko za momencik, najpierw muszę jeszcze wykonać kilka telefonów i załatwić sprawy w Badenii i na Jutlandii.

– Załatwić? – wyjąkał redaktor.

– To o siedemnastej? – Producentka uśmiechnęła się promiennie, zajrzała do notesu i zamasyżyła coś wykreśliła.

Rozdział 4

Widzieliście kiedyś nieme czarno-białe komedie sprzed stu lat, w których aktorzy biegają w przyspieszonym tempie i akcja gna do przodu bez słów? Tak mniej więcej wyglądała nasza grupa prowadzona przez Zdzisława Trupika. Z tym że stare czarno-białe filmy były nieme, czego nie można było powiedzieć o burmistrzu, który nie przestawał mówić nawet na moment.

– Idealnie się złożyło, że przyjechali państwo kręcić akurat teraz. Ta lokalizacja na pewno się wam spodoba. To stary obiekt, świetnie przystosowany do swojej roli... O proszę, jesteście już na miejscu.

Wysiedliśmy z busa i znaleźliśmy się przed wielką drewnianą chatą krytą strzechą. Stała w otoczeniu kilku innych chat i starych zabudowań, również z drewna. Burmistrz, zachwycony, zatarł ręce.

– Mówili państwo „chata”, prawda? No to jest jak znalazł. W przyszłym roku otwieramy tu skansen, ale budynki już stoją. Ten na przykład liczy sobie prawie dwieście lat.

– Ale tu jest czysto! – jęknął Błażej Straszny, rozglądając się dookoła.

Trupik się rozpromienił.

– Bardzo o to dbamy. Mamy nawet konkurs na najczystsza ulicę.

– A jakie są nagrody? – zainteresował się upiór.

– Naprawa nawierzchni. A jeśli już jest naprawiona, to dołożenie ścieżki rowerowej.

Pisarz złapał się za głowę.

– Ten upiór wypelza z bagien. Gdyby to był upiór z najczystszej ulicy w mieście, to tak brzmiałby tytuł. *Upiór z ulicy Czystej*.

– Dobre, dobre – zachichotał Jakub Blizna. – Mogłoby się spodobać widzom. A może *Upiór ze skansenu*? To by leciało tak: władze miasteczka, gdzie rozgrywa się akcja...

– Kościanego Zdroju – zaznaczył Trupik.

– ...kupują starą chatę i przewożą ją do skansenu. Nie mają pojęcia, że w środku drzemie pradawne zło, które tylko czyha, aby się obudzić.

– Tak, to byłoby dobre – zgodziła się Jagoda Szrama. – Cały plan zdjęciowy w jednym miejscu. Wszystkie media też, nie trzeba by ciągnąć agregatów prądotwórczych.

– I upiór by nie przemakał – przytaknęła charakteryzatorka.

– Przez te gałęzie odklejają mi się wszystkie elementy kostiumu – ubolewał upiór. – Gdybym mógł atakować Marcelinkę w porządnej chacie, czułbym się bardziej komfortowo.

– Nie ma mowy! – uciął te dywagacje Błażej Straszny. – To ja jestem autorem i w umowie mam zagwarantowany wpływ na całokształt scenariusza.

– Niestety. – Redaktor wznosił oczy do nieba.

– Przynajmniej wejdźmy zobaczyć – zachęcił burmistrz, otwierając drzwi.

Wewnątrz było nawet miło. Oczywiście jeśli lubicie stare drewniane podłogi, ogień płonący w starym piecu, ludowe zaslonki w starych oknach, stare drewniane bujane fotele i stare łoża, w których można się zapaść, przykryte barwnymi pasiakami, kwiaty w starych wazonach oraz malownicze (stare) obrazy na ścianach. A także dwie wcale niestare dziewczyny w strojach ludowych, które na nasz widok zaintonowały *Góralu, czy ci nie żal* przy akompaniamencie skrzypek w rękach starszego górala.

– To nasz zespół ludowy Kościanki – pochwalił się Zdzisław Trupik. – Występowały nawet na festiwalu w Genewie i zajęły trzecie miejsce. A powinny być zająć drugie, tylko jury było tendencyjne. Całego zespołu nie dałem rady ściągnąć na cito, ale Marlina i Bożena to nasze najbardziej utalentowane głosy.

– W mojej powieści pradawne zło mieszka w pradawnej prasłowiańskiej chacie, niezadlonej od pokoleń i chylącej się ku upadkowi – fuknął Błażej Straszny. – A nie w odnowionej chatce, wyremontowanej za fundusze unijne.

– Można by zdjąć kilimy i narzucić trochę błota – zaproponował Jakub Blizna.

– Tylko nie za dużo, żeby dało się potem usunąć – zaznaczył burmistrz. – Albo lepiej: można by nasypać plastikowego granulatu, zostało nam sporo, jak robiliśmy orlik dla młodzieży. Granulat jest bezpieczny, z atestem, a usunąć łatwo...

– Ma pan jeszcze jakieś inne lokalizacje? – wszedł mu w słowo pisarz. – Potrzebujemy prawdziwego błota, wody i bagien, a nie granulatu.

– Oczywiście – rozpromienił się Trupik. – Rzucimy teraz okiem na naszą dumę. Ogród z magicznym stawem. Znakomicie się nada. Zaprowadzę.

Przeszliśmy dróżką wysypaną drobnymi kamyczkami za wspaniale wyremontowaną stodołę.

– Robi wrażenie, prawda? – Burmistrz aż urósł z dumy. – Kamienie sprowadzone ze Słowacji, a mostek zbudowany na wzór tych z rezydencji lorda Churchilla. Mogłaby stać na nim bohaterka, a upiór czaiłby się w trzcinach.

Sztuczny staw miał powierzchnię sporego mieszkania. Przerzucony nad nim mostek rzeczywiście robił wrażenie, choć absolutnie nie było to wrażenie prasłowiańskiej grozy. Raczej dostatku, dobrobytu, romantyzmu. A także nieodparte wrażenie, że projektant, nie wiedząc, czy woli styl wiktoriański, czy nowoczesny, połączył je śmiało, dodając szklane i chromowane elementy.

– Wszystkie pary młode przyjeżdżają tu na sesje zdjęciowe – puszyl się burmistrz. – Może być? Błota, co prawda, za dużo nie ma. Ale za to są szuwary.

Rzeczywiście. Zajmowałyby jeden pokój z tego mieszkania. Tak mniej więcej dziesięć metrów kwadratowych.

– A może nakręcilibyśmy tu scenę, w której Julia przyjeżdża do Kościanego Zdroju, idzie do miasta i nie wie, że śledzą ją czyjeś oczy – zastanawiała się Jagoda Szrama.

– Absurd! – zełził się Straszny. – Kościany Zdrój to przecież chyląca się ku upadkowi dziura!

– Słucham? – Twarz Trupika przybrała zacięty wyraz.

– Pan Straszny miał na myśli powieściowe miasteczko – uspokoił go redaktor.

– Można by jednak jakoś w filmie zaznaczyć, że teraz jest kwitnące, chociaż wiele lat temu się chyliło – odetchnął burmistrz. – Niemniej prężnie działający samorząd lokalny tchnął w nie życie. Krótko i zgrabnie ujęte.

– Pomyślimy – mruknął Pogrobny. – Czy upiór mógłby wejść do wody i zobaczylibyśmy, jak to wygląda?

– A głęboko tu? – skrzywił się upiór.

– Bardzo płytko – uspokoił go Trupik.

Upiór ostrożnie wkroczył w szuwary. Burmistrz się nie mylił: wody było najwyżej po kostki. Szuwary, a właściwie kilka suchych badyli, sięgały do pasa.

– Gdyby dowieź ich trochę więcej, mogłoby się udać... – zasugerowała Jagoda Szrama.

– Nie ma mowy – przerwał jej Straszny. – Szukamy rozwalającej się chatki, błota, bagna i tylko tam mogą osadzić ostatnią scenę.

– Pospieszcie się, bo strasznie tu ziiiiimno! – Upiór zawył nagle i zaszczękał zębami, własnymi, bo zuchwa kolejny raz mu się odkleiła.

Straszny znowu się przestraszył.

– Panie Hubercie, już panu sto razy mówiłem, żeby pan nie wyl tak zniecka za moimi plecami. Zawału można dostać.

Potworowska dała mu znak, że może wyjść. Upiór usiadł na brzegu stawu, zdjął mokre adidasy i skarpetki i zaczął rozcierać sine stopy.

– Pani Lucjo, tylko w pani nadzieja – szepnął mi redaktor. – Musimy mieć tę chatkę i tekst. Dziś. Koniecznie.

Skinęłam głową. W końcu nie biorę opętańczo wysokiej gaży za nic.

Rozdział 5

Błażej Straszny wyglądał, jakby wpadł z deszczu pod rynnę, ale nie było w tym nic dziwnego. Też byście się tak czuli, gdybyście napisali sześćset stron prozy, której akcja toczy się w większości na ponurych bagniskach, pełnych uschłych drzew, zrujnowanych chat, dzikiego zwierza, i trafili w miejsce, gdzie to miało być kręcone.

O ile skansen był elegancki i odnowiony na wysoki połysk, o tyle o Kościanym Uroczysku nie można było tego powiedzieć. Z jednej strony ograniczone było linią kolejową, a z drugiej widocznym w oddali centrum handlowym. Pośrodku rosły kępy drzew i stał, a właściwie chylił się ku upadkowi warsztat samochodowy, który, sądząc po wiszącym na ścianie przykurzonym kalendarzu (ale nie na tyle przykurzonym, żeby nie dało się dostrzec szczegółów anatomicznych sfotografowanych dziewczyn), opuszczono w roku dziewięćdziesiątym szóstym. Dookoła było naprawdę sporo błota i kałuż.

– Oczywiście teren miał więcej uroku przed poprowadzeniem linii kolejowej oraz wybudowaniem centrum handlowego, natomiast jeśli chodzi o...

Ostatnie słowa burmistrza zagłuszył loskot przetaczającego się pociągu pasażerskiego.

– Czternasta dwanaście do Nowego Sącza – wyjaśnił Trupik, kiedy skład już przejechał. – Ale jeśli chodzi o zdjęcia, to absolutnie by nie przeszkadzało, pociągi jeżdżą co godzinę, tylko ruch podmiejski. A mamy chatkę, błoto, wszystko gotowe do kręcenia.

– Przecież ten warsztat jest z cegieł i betonu – zauważył Błażej Straszny, kopiąc w drzwi, które wypadły z futryny i rozpadły się na dwie części.

– Proszę, a nie mówiłem! – zachwyił się burmistrz. – Wszystko stare, oryginalne.

– W zasadzie warsztat mógł zostać zbudowany na miejscu dawnej chaty – zastanowił się Jakub Blizna.

– Tu szaleje zło! Jak ma szaleć, kiedy w środku jest kanał do naprawy samochodów? – obruszył się Straszny.

– Kanał można zamaskować – uznała Anna Potworowska. – Do środka dałabym trochę elementów drewnianych, jakieś krosno pokryte pajęczyną, roztrzaskane łóżko.

– Może jeszcze zwierzę – dorzuciła Jagoda Szrama.

– Mamy przecież kota – przypomniał upiór.

– Uważam, że powinniśmy zrównoważyć upiornego kota pozytywnym bohaterem zwierzęcym – wtrąciła reżyserka.

– Wszystkie zwierzęta w moich horrorach pochodzą z piekła – oświadczył Straszny.

– Właśnie w tym problem. – Reżyserka pokiwała głową. – Dziś widz chce się identyfikować z jakimś miłym stworzeniem. Poczucie, że natura nie jest przeciwko niemu.

– Ależ o tym jest moja książka. Wszystko sprzysięga się przeciw bohaterce – zaprotestował Straszny.

– To prawda, Misiaczkę – zaszczębiotała Marcelina.

– Może koza? – myślała głośno Szrama. – Jest modna ekologicznie. A przy tym pasuje do pradawnych czasów.

– Żadna koza i żaden warsztat! – Błażej Straszny tupnął i wyszedł przez to, co pozostało z drzwi.

– Pani Lucjo, zegar tyka – szepnął mi do ucha redaktor, przechodząc przez resztki fragmentu.

Kolejne miejsce mogłoby zadowolić amatora odludnych uroczysk. O ile oczywiście nie przeszkadzałyby mu dość krzykliwy plac zabaw tuż za plotem. No i jeszcze fakt, że chatkę było kilkadziesiąt.

– Magiczny Las. – Trupik był równie entuzjastyczny, co przy pozostałych lokalizacjach.

Osiedle, na które nas przywiózł, stanowiło istny raj dla rodziny z polskiej klasy średniej. Jej przedstawiciele i przedstawicielki tłoczyli się między góralskimi chatami krytymi strzechopodobną dachówką.

– Wiem od prezesa Magicznego Lasu, że mają jeszcze kilka wolnych chałup, mogliby użyć ich do kręcenia – zachęcał burmistrz.

– Tu jest w ogóle jakiś las? Magiczny, niemagiczny? – zapytał z niedowierzaniem Jakub Blizna.

– Był, ale deweloper musiał go wykarzcować, zanim zbudował osiedle – uściślił Trupik. – Przed wjazdem zostało kilka sosen. No i są tuje, nasadzenia...

– Upiór nie będzie się skradał wśród rzędów tui! – krzyknął Straszny. – Wykluczone!

– Można je wyciąć w postprodukcji – uznał redaktor.

– A nie lepiej znaleźć miejsce bez tui?! Z chatką i bagniskiem! – wybuchł pisarz.

– Być może trzeba będzie pójść na pewien kompromis artystyczny – oznajmił Jakub Blizna. – Historia szłaby tak: rodzina wprowadza się do domu na nowym osiedlu. Poznają sąsiadów, urządzają wspólne grille, dzieci bawią się na placu zabaw, aż nagle zaczynają dziać się straszne rzeczy. Okazuje się, że osiedle wybudowano na pradawnym uroczysku, w magicznym lesie, który wycięto, i teraz las się mści. Upiór z bagien...

– Przecież nie ma tu ani kawałka bagna! – przerwał mu Straszny.

– Otóż to – ucieszył się Blizna. – Upiór jest wściekły z tego powodu. Całe tysiąclecie siedział w szlamie na uroczysku, a tu szast-prast: zdrenowano teren, wycięto las, zbudowano osiedle. Nic dziwnego, że targa nim żądza zemsty.

– Tak! – Marcelina zaklaskała w ręce. – To jest to, o czym mówiłam, Misiaczk. Dalibyśmy silny sygnał, że leży nam na sercu dobro cywilizacji, nie zgadzamy się na rabunkową gospodarkę zasobami. Jesteśmy za ekologią, naturą.

– Przecież to upiór, który morduje w okrutny sposób! – Straszny złapał się za głowę.

– No właśnie, skoro już jesteśmy przy mordowaniu: czy on musi koniecznie rozerwać Julię na kawałki? – zastanawiała się reżyserka.

– Musi – warknął pisarz. – To właśnie robią pradawne słowiańskie upiory.

– Może jednak po prostu ją nastraszy? – podsunęła Szrama. – Weźmy takiego *Makbeta*, którego ostatnio reżyserowałam w Warszawie. Są tam i czarownice, i magia, ale jednak nie ma okrucieństwa.

– W oryginale trup ściele się gęsto – zauważył redaktor.

– I dlatego ograniczyłam te bezsensowne śmierci. – Artystka pokiwała głową. – Dziś nikt nie chce widzieć bohaterów, którzy giną, ale takich, którzy się zmieniają.

– Więc *Makbet* przeżył? – zdziwił się Pogrobny.

– Oczywiście. Natomiast cała historia go zmieniła. Rozpoczął pracę w fundacji pro bono zajmującej się uchodźcami.

– To one istniały w średniowiecznej Szkocji? – Historia wyraźnie wciągnęła Jakuba Bliznę.

– Och, przeniosłam *Makbeta* w czasy współczesne, żeby ta opowieść była bliższa wrażliwości dzisiejszego widza – wyjaśniła Szrama. – *Makbet* jest szefem agencji reklamowej i doprowadza do zwolnienia swego rywala i połączenia obu firm.

– A czarownice? – dopytywał się Blizna.

– Specjalistki od szkolenia marketingowego i coachki. Widzowie byli zachwyceni, spektakl ma świetne recenzje.

– Nie ma mowy, żeby wystąpiły tu jakieś coachki – zastrzegł Straszny.

– Ależ skąd, nawet nie proponuję. – Reżyserka uśmiechnęła się. – Ale koza? I, powiedzmy, działacz miejscowej organizacji ekologicznej, który nakierowałby Julię na właściwy trop?

– Jestem za – odezwał się milcząco do tej pory upiór, poprawiając ponownie oko. – Ten kostium nie jest ocieplany, mam mokre spodnie od włożenia do tego bajora i już czuję się niewyraźnie. Jutro na bank będę miał gorączkę. A po kilku dniach w bagnie wyląduję u lekarza.

– Nie ma mowy – upierał się Błażej Straszny, chociaż cała grupa patrzyła na niego z nadzieją. – Musi być błoto.

– Ale żeby nie było zimno – skrzywiła się Marcelina. – Przecież wiesz, Misiaczku, że ja też łatwo łapię przeziębienia.

– Znam, znam, znam! – ucieszył się nagle Zdzisław Trupik. – Wspaniałe miejsce, dużo błota, bardzo ciepło.

Rozdział 6

Znacie ten moment, kiedy wszystkie obietnice się spełniają, a mimo to spełnienie jest dalece niesatysfakcjonujące? Jeśli sądzicie, że jakimś cudem trafiliśmy wprost z Kościanego Zdroju do tropikalnych bagien, jesteście bliscy prawdy. Ale tylko bliscy. Rzeczywiście mieliśmy przed sobą mnóstwo błota, i to bardzo ciepłego. Łagodnie pluskało w wielkim basenie obłożonym błękitną mozaiką, nad nami paliły się lampiony, a z głośników sączyła się nastrojowa muzyka.

Jednym słowem: było to Kościane Spa. Idealne miejsce dla kogoś, kto chciałby zażyć kąpieli błotnych, ewentualnie skorzystać z masażu błotem. Dziesięć w cenie ośmiu lub pięć w cenie czterech. Znakomicie ujędrniają dekolt i skórę na całym ciele. Przynajmniej tak obiecywały otaczające nas reklamy.

Kilka pań w czepkach taplało się w błocie, najwyraźniej świetnie się bawiąc. Kilku mężczyzn w szlafrokach, których po nieszczęśliwych minach zidentyfikowałam jako mężów, czekało na leżakach przy basenie, zerkając co chwila na zegarki.

– Upiór może sobie siedzieć w tym błocie, a potem rzucić się na Julię – rozwijał swoją wizję Trupik.

Zerknęłam na Błażeja Straszego. Najwyraźniej nie zniósł podgrzewanego błota zbyt dobrze. Siedział z twarzą ukrytą w dłoniach, powtarzając pod nosem: „Ja już nie mogę”.

– W sumie gdyby nakręcić tu scenę kulminacyjną, rzucilibyśmy wyzwanie również konsumpcyjnemu stylowi życia – zauważyła Jagoda Szrama. – Upiór mógłby porwać i wciągnąć pod błoto jakąś sympatyczną postać drugoplanową i wtedy nawet byłby trup, tylko taki nieoczywisty.

– Ten upiór mógłby uaktywniać się w niektóre dni. – Jakub Blizna pokiwał głową. – Powiedzmy tylko w Halloween. Ale co trzydzieści jeden lat.

– Czemu akurat trzydzieści jeden? – zaciekała się Anna Potworowska.

– Okres powinien być na tyle długi, żeby mieszkańcy zdążyli zapomnieć, ale na tyle krótki, żeby jednak nie całkowicie – wyjaśnił Blizna. – I mamy okazję do retrospekcji, pokazania Polski sprzed trzydziestu jeden lat. Wiecie: szalejący plan Balcerowicza...

– Wtedy jeszcze nie było naszego spa – przypomniał burmistrz. – Otwarto je dopiero dwa lata temu.

– Wtedy mógł być rachityczny salon urody, tipy, sztuczne loki i tak dalej. – Scenarzysta cieszył się jak dziecko.

– Nie mamy funduszy na tipy i stroje z wczesnych lat dziewięćdziesiątych – przypomniała Potworowska.

– Ta pani, którą widzieliśmy w kasie, wyglądała jak moja mama w dziewięćdziesiątym pierwszym roku – zapalił się Blizna. – Wystarczyłaby minimalna charakteryzacja.

– Nie ma mowy! – wrzasnął Błażej Straszny, zrywając się z krzeselka. – Po moim trupie!

– Ktoś wspominał o trupie? – Jeden z mężczyzn w białych szlafrokach, siedzących cierpliwie na leżakach i oczekujących, aż żony wyjdą z błota, wstał i odwrócił się w naszą stronę. – Pani Lucja, co za koincydencja! – zdumiał się aspirant Konieczny, bo to był on we własnej osobie. Zerknął na siebie, zwłaszcza na szorty kąpielowe w różowe słonki, i odruchowo okrył się szlafrokiem.

– Również jestem zachwycona spotkaniem. – Uśmiechnęłam się czarująco.

Rozdział 7

Nie wiem, jaką złotą myśl wynieśliście ze studiów czy szkoły. W mojej Alma Mater, Międzynarodowej Szkole Zarządzania Majątkiem w Brukseli, powtarzano: „Gdzie diabeł nie może, pošłą was”. To niegłupia zasada, trzeba tylko pamiętać, by stosować również tę drugą. „Każdy ma cenę, pomóż mu ją odkryć”.

W czasie kiedy reszta grupy deliberowała nad wprowadzeniem ulepszeń do scenariusza, by dopasować go do kolejnych proponowanych przez Trupika lokalizacji, i zastanawiano się, czy można kręcić w góralskich chatkach lub skansenie, a Straszny rwał sobie włosy z głowy, ja wyszłam przed spa, gdzie znalazłam troje nastolatków. Nie uwierzycie, co dziesięcioletnia młodzież jest gotowa zrobić, kiedy obieca jej się najnowszą grę FIFA. Po mniej więcej dziesięciu sekundach dzieciaki miały grę, a ja lokalizację, której potrzebowaliśmy. Partą zdjęciami, które przerzucili mi na komórkę.

– Zimne Wody – wróciłam niezauważona do spa i wtrąciłam się do rozmowy, która przybierała coraz burzliwszy przebieg.

– Co? – Redaktor popatrzył na mnie zdumiony.

– Rezerwat Zimne Wody. Dziesięć minut jazdy. Bagna, chaszczce, las i stara chatka. – Pokazałam kilka zdjęć w komórce.

– Idealne – zachwycił się Błażej Straszny. – Jedźmy tam od razu.

– Ale to takie... zadupie – rzucił Zdzisław Trupik, wyraźnie rozczarowany. – Nic, czym można by się pochwalić.

– No właśnie. Najlepsze miejsce dla upiora z bagien – uznał pisarz.

– Mogę państwa zawieźć, ale tam naprawdę nie ma nic specjalnego – narzekał burmistrz, wyraźnie zdegustowany. – Po prostu rozpadająca się chata. Miejscowi boją się tam chodzić, bo podobno przed wojną zamieszkiwała ją szalona wdowa. Zabiła męża, odsiedziała dwadzieścia lat, a potem wróciła do chatki i całkiem zwariowała. Odprawiała jakieś czary, rzucała zaklęcia, wierzyła w zabobony...

– Idealnie. – Straszny zatarł ręce i poprawił przekrzywioną czapeczkę. – Po prostu idealnie!

– I niebezpiecznie – zaznaczył Trupik. – Dwa lata temu wytyczyliśmy szlak za pomocą tyczek, żeby nikt nie utopił się w bagnie.

– Jedziemy – zdecydował pisarz.

Zobaczyłam, jak Konieczny daje mi znak. Podeszłam.

– Bardzo gustowne te szorty – pochwaliłam. – Różowe słoniki to odważny wybór.

– Żona mi kupiła. – Aspirant ściślej opasał się szlafrokiem. – Sprezentowałam jej na urodziny trzydniowy pobyt w spa. To znaczy sama sobie sprezentowała i jeszcze kazała mi ze sobą jechać. Podobno to odmładza, pani Lucjo, ale jest dopiero drugi dzień, a ja już czuję, że się postarzałam o dziesięć lat. Czy pani wie, że obłożyli mnie gorącymi kamieniami, a potem polali jakąś mazią? To było straszne! I nie można uciec. A kobiety, pani Lucjo, robią to sobie dobrowolnie. – Wzdrygnął się.

– Bez wątplenia – przyznałam.

– Pani też? – Przyjrzał mi się z lekką obawą, jakby myślał, że wciągnę go w błoto.

– Ja tu jestem służbowo – wyjaśniłam. – Mam dopilnować, żeby pan Błażej Straszny dokończył książkę.

– Błażej Straszny?! – Oczy Koniecznego przybrały rozmiar i kształt kamieni do masażu. – To on? Nie poznałem go przez tę czapeczkę.

– Jest pan wielbicielem? – zdziwiłam się. Nie podejrzewałabym aspiranta o takie lektury.

– O tak! – potwierdził gorąco policjant. – Przede wszystkim wielbicielem prozy pana Straszego jest sam inspektor Wąski. A rozumie pani, pani Lucjo, trzeba się orientować w tym, co czytają przełożeni. Ale mnie też bardzo wciągnęło. Ta słynna scena z bestsellera *Niech odwieczne zło przeminie*, w której główny bohater topi się w bagnie...

– To z książki *Wesele upiornego diabła* – sprostowałam.

– Hm, no tak. W każdym razie, wracając do tych zabiegów w spa, to, pani Lucjo, na szczęście zostało już tylko jutro. – Odetchnął i na jego twarzy pojawił się uśmiech. – Pomyślałem, że wejdę do sauny i postaram się przetrwać do obiadu. Wtedy ominą mnie te gorące i zimne glinki. Uważa pani, że to dobry plan?

– Znakomity – potwierdziłam.

– Władek z kolei wpadł na pomysł, że odkryje jakieś morderstwo i będzie musiał pojechać dokonać wizji lokalnej, i tak mu zleci dzień.

– To Władek też jest w spa? – zdumiałam się.

– Niestety. Nasze żony się przyjaźnią – westchnął Konieczny – więc i on musiał przeżyć masowanie gorącymi kamieniami. Wyznał mi potem, że to było gorsze niż starcie z nożownikiem z Darłowa.

– Tamto musiało być bolesne. – Pokiwałam współczująco głową.

– Żeby pani wiedziała. Nożownik z Darłowa rzucał w niego nożami. Na szczęście miał ich przy sobie tylko siedem. Zwykle nosił dwadzieścia. Ale i tak był bliżej. Przyszpilił Władka trzema ostrzami do drewnianej beczki, a następnie zamierzał przystąpić do amputacji... pewnych części ciała.

– I wtedy pojawił się inspektor Wąski? – strzeliłam.

– Zgadła pani. – Konieczny się rozpromienił. – Wpadł na białym motocyklu i staranował nożownika. Władek twierdzi jednak, że śmierć była bliżej, kiedy wczoraj okładali go tymi kamieniami. No i nie zjawił się inspektor Wąski, żeby go ratować. W każdym razie Władek zamierza teraz wyruszyć na fikcyjne wezwanie miejscowej komendy do fikcyjnego trupa, a następnie zadzwonić do mnie i poprosić o fikcyjną pomoc. Oczywiście to siła wyższa, więc żony nie będą protestować. Wrócimy wieczorem, a wtedy zostaje już tylko kolacja i następnego dnia wyjazd.

– Powinno zadziałać – przyznałam.

– A może Władek mógłby dołączyć do tej waszej ekipy filmowej? – spytał Konieczny. – Pojedzie z wami i za dwie godziny zadzwoni, że znaleźliście jakiegoś trupa na odludziu, miejscowa policja nie ma środków i jestem niezbędny. Powiem żonie, że to pani dzwoniła. Ona już się przyzwyczaiła, że za każdym razem, kiedy się spotykamy, pada jakiś trup, więc w ogóle nic nie będzie podejrzewała. Zgodzi się pani?

– Z przyjemnością. – Uśmiechnęłam się i wyciągnęłam plik kwitów z saszetki. – A skoro jesteśmy przy drobnych przysługach: mam kilka mandatów za przekroczenie prędkości.

– Ależ pani Lucjo. – Mina Koniecznego się wydłużyla. – Mandaty załatwialiśmy zawsze przy okazji zwłok.

– Tak będzie i tym razem. – Pokiwałam głową. – Tyle że fikcyjnych. Potrafię być bardzo przekonująca, opowiadając o ich znalezieniu. Lub bardzo nieprzekonująca. Władek pęknie pod krzyżowym ogniem pytań żon obydwu panów – dodałam po chwili. – Jeśli ja nie pomogę...

Zawiesiłam głos i pozwoliłam Koniecznemu wyobrazić sobie, co się wtedy stanie.

– Niech będzie. – Aspirant westchnął ciężko, biorąc ode mnie formularze. Zerknął na nie i mina jeszcze bardziej mu zrzedła. – Trzydzieści osiem punktów karnych? Na miłość boską, rozjeżdżała pani wycieczki szkolne na pasach? Ścigała bezbronne staruszki?

– Wymijanie traktora na długiej ciągłej w środku lasu, przekroczenie prędkości przy ograniczeniu do trzydziestu w wymarłej wiosce, która nie ma żadnego mieszkańca, ale znak został, takie tam. Żadnego prawdziwego zagrożenia – pocieszyłam go.

– Niech będzie – powtórzył Konieczny. – Ale chciałbym, żeby ten trup wypadł naprawdę przekonująco.

– Z całą pewnością tak wypadnie – obiecałam.

Nie wiedziałam jeszcze, jak prorocze było to zdanie.

Rozdział 8

Gdybyście byli miłośnikami horrorów, zakochałobyście się w tym miejscu. Kikuty uschłych drzew, posępne wrony od czasu do czasu zrywające się do lotu i kraczące o beznadziei oraz śmierci, a na dodatek prawdziwe bagnisko, które mimo wytyczonej żerdziami drogi i tak zbierało haracz: Zdzisław Trupik stracił jeden ze swoich mokasynów z frędzlami. Straciłby dużo więcej, na szczęście pomocna dłoń Władka pomogła mu wy dostać się z błota i o całość przygodzie przypominały tylko utyłane po kolana spodnie.

No i sama chatka – drewniana, klekocząca drzwiami, strasząca skrzypiącymi okiennicami, a w środku zadziwiająco dobrze zachowana. Był nawet stół z rozstawionymi na blacie talerzami, jakby gospodarze gdzieś na chwilę wyszli i zaraz zamierzali wrócić. Ale z tego, co wiedziałam, zniknęły na zawsze czterdzieści lat temu.

Gdybyście jednak nie byli fanami horrorów, to wszystko mogłoby was odstraszyć.

Władek nie wyglądał ani na jednego, ani na drugiego, ale wydawał się szczęśliwy.

– Jak już znajdziemy tego trupa, to jest fikcyjnego, a nie realnego, zaraportuję to aspirantowi Koniecznemu, a on zadzwoni do pani, żeby potwierdzić prawdziwość zwiok – tłumaczył. – Pani przysięgnie, że jest trup, bo aspirant Konieczny będzie wykonywał połączenie przy naszych żonach. A moja żona to bardzo mądra kobieta. Raz dzwoniłem do niej, że jestem zajęty na komendzie, ale niestety omyłkowo wybrałem połączenie wideo i ona dostrzegła fragment kolegi Kalickiego Staszka, z którym piliśmy napój. Żle to się skończyło.

– Będę pamiętać – zapewniłam.

– Idealna sceneria – zachwycał się tymczasem Błażej Straszny, rozglądając się dookoła. – No naprawdę, nie mógłbym sobie wymarzyć lepszego miejsca.

– Bardzo zły dojazd – mruzczał Trupik, bezskutecznie usiłując doczyścić spodnie.

– Trudno będzie podciągnąć prąd. – Jagoda Szrama zmarszczyła czoło. – Zresztą otoczenie wydaje mi się zbyt dosłowne. Te wrony, chatka, wszystko tu mówi, że należy się spodziewać przerażających rzeczy.

– O to właśnie chodzi w horrorze – zauważył Straszny.

– Może by ktoś pomyślał o mnie? – naburmuszył się upiór. – Zrobię o krok za daleko w którąś stronę i będziecie mieli prawdziwego trupa.

– Zdaje się, że ten upiór i tak od stuleci nie żyje. – Jakub Blizna uśmiechnął się.

– Skoro są bagna i chatka, to siadaj i pisz. – Redaktor westchnął głęboko i wręczył Strasznemu laptopa. – Ekipa zrobi zdjęcia próbne, a ja zadzwonię do Beaty i powiem, że mamy ostatnią scenę. Co w niej się dzieje, streszcz mi?

– Marcelina, to jest Julia, wpada do chatki. Orientuje się, że widziała już kiedyś to wnętrze. Tu retrospekcja z dzieciństwa. – Straszny otworzył laptopa i zaczął pisać. – Przypomina sobie, że zdjęcia chatki pokazywała jej ciotka, która w tajemniczych okolicznościach zniknęła kilka lat wcześniej. Zostawiła jej tylko enigmatyczne słowo klucz.

– Jakie słowo? – zainteresował się Pogrobny.

– Jeszcze nie wiem. – Straszny wzruszył ramionami. – Powiedzmy, że „elizjum”.

– Czemu elizjum? – przerwała Marcelina. – Może niech zostawi jakieś słowo nawiązujące do ekologii, weganizmu, katastrofy klimatycznej ewentualnie związków LGBT? Co ty na to, Misiaczk?

– Żadnego klimatu – naburmuszył się pisarz. – Prasłowiańskie zło ma klimat w głębokim poważaniu. Po prostu jest złe. W każdym razie Julia przypomina sobie, że ciotka mówiła jej o skrytce pod podłogą. O, może być tutaj. – Klepnął w jedną z desek przy ścianie. Ta odpadła i w podłodze pojawiła się wyrwa. Straszny zajrzał w nią ciekawie i pogrzebał

w środku ręką. – Julia odkrywa w skrytce mapę... – Wyciągnął na światło dzienne jakies zawiniątko.

– Mapa? – Jagoda Szrama, wyraźnie przestraszona, objęła się ramionami. – Naprawdę?

– Wygląda raczej na bardzo starą nalewkę – stwierdził Straszny. – Julia bierze tę nalewkę, to jest mapę, i widzi tajemnicze znaki prowadzące do kurhanu w okolicy. Tymczasem upiór wpada przez okno. Julia powala go, rzucając w niego butelką, to jest mapą...

– To nic nie da – zawyrokował milczący dotąd Władek. – Niech użyje łańcucha. W takiej ruderze na pewno jakiś się znajdzie. Mój dziadek, świętej pamięci, zawsze miał w domu łańcuch, co to krowy na nim wiązał na pastwisku...

– Znakomity pomysł! – zakrzyknął Straszny, klepiąc Władka po ramieniu. – Julia ucieka w stronę kurhanu i zaczyna rozrzucać ziemię rękoma...

– Ma mało czasu, bo upiór zaraz zrzuci łańcuch – przypomniał mu policjant. – Kiedy pewnego razu musiałem szybko odkopać skrytkę, a przestępcy byli tuż za mną, postawiłem na widły. Poza tym mogą służyć do obrony.

– Genialne, widły pasują do prasłowiańskości – zachwycił się Straszny. – Znajduje tę skrytkę, idzie z mapą, ale upiór jest tuż za nią...

– Może go wywieść w pole, wkładając buty tyłem na przód – podsunął Władek. – Inspektor Wąski zrobił tak, gdy był ścigany przez gang przemytników. Kompletnie zgubili ślad.

– Wprost znakomite – wysapał Straszny, zapisując. – A scena walki finałowej? Co pan proponuje?

– Bagno powinno wciągnąć ich oboje – zawyrokował Władek. – Zanim inspektor Wąski pochwylił truciciela z Gołdapi, walczyli w błocie, które zniwelowało przewagę siły truciciela i inspektorowi udało się go unieszkodliwić trzonkiem od butelki.

– Fantastyczne! – Straszny był pod wrażeniem. – Nie byłby pan zainteresowany posadą researchera?

– Musiałbym zapytać żony – odparł ostrożnie Władek.

– Dzwonię po ekipę, nakręcimy próbne zdjęcia – polecił pisarz. – Ja w tym czasie rozpiszę dialogi.

– Nie jestem przekonana – zamyśliła się Jagoda Szrama. – Może jednak ten skansen byłby lepszy.

– Albo tutaj, albo nigdzie. Żadnego skansenu, po moim trupie! – rozeźlił się Straszny. – Poza tym ta Muerte zaraz przyjedzie i musicie jej pokazać lokalizację. Do roboty!

Reżyserka wyjęła komórkę i wydała kilka poleceń.

– Chodźmy, poszukamy dobrego miejsca, żeby nakręcić scenę z napadaniem – zwróciła się do Marceliny i upiora, którzy nie wyglądali na specjalnie zachwyconych.

– Jak wpadnę do wody, to się przeziębnię – narzekała dziewczyna.

– Takie rzeczy na Zachodzie robiliby w studiu – utyskiwał upiór.

Ale oboje potulnie ruszyli za reżyserką.

Anna Potworowska pobiegła za nimi.

– Tylko pamiętajcie, żeby nie było za wilgotno! – krzyczała.

– To ja też wyjdę na chwilę – powiedział Blizna. – Wchłonę miejscową atmosferę, żeby lepiej napisać końcówkę.

– Kończówkę to pisz ja! – wszedł mu w słowo Straszny. – Ty też wyjdź, Danielu. Nie mogę pracować, kiedy nade mną stoisz.

– Znakomita robota, pani Lucjo, znakomita. – Redaktor zatarł ręce. – Już dzwonię do Beaty, że mamy wszystko i zaczynamy zdjęcia.

I też wyszedł z chatki.

Ale Straszny, wbrew zapowiedziom, długo nie popracował. Pikiął mu telefon.

– Dziwne – zamruczał do siebie. – Numer nieznanym.

Otworzył wiadomość.

– „To już koniec. Przemięło z wiatrem” – odczytał. Po czym nagle zerwał się i wybiegł z chatki.

Zostaliśmy z Władkiem sami.

– Pani Lucjo, pora na trupa – syknął konspiracyjnie policjant. – Oddalę się pospacerować i po kilku minutach któreś z nas znajdzie zwłoki i zawiadomi aspiranta Koniecznego.

Mrugnął do mnie i wyszedł przez rozklekotane drzwi. Podążyłam za nim. Skręcił w lewo, więc skierowałam się w prawo, starając się trzymać tyczek znaczących szlak wśród bagien.

Po kilkunastu minutach znalazłam ciało, więc wszystko poszło zgodnie z planem. Może z wyjątkiem tego, że było to prawdziwe ciało i prawdziwy trup. Pod wystającą ze szlamu czapeczką kryła się cała reszta wciągniętego przez bagno Błażeja Straszego.

Rozdział 9

Kłopot z trupem znalezionym w bagnie jest dość oczywisty. Jeśli nigdy wam się to nie przytrafiło, wiedźcie, że musicie znaleźć długi kij, a potem trącać nim ciało, sprawdzając ewentualne oznaki życia. Nie da się podejść i chwycić denata za nadgarstek w poszukiwaniu pulsu, no chyba, że sami chcecie zostać kolejnymi zwłokami.

Jednak trącanie kijem tkwiącego w bagnie pisarza nie wywołało u niego żadnej reakcji. Ostrożnie wycofałam się w stronę chatki. Po minucie natknęłam się na Władka, który spojrzał na mnie wyczekująco.

– Mamy trupa? – zapytał.

– Owszem – przytaknęłam.

– Znakomicie. – Policjant zatarł ręce. – Działamy.

– Nie widziała pani Błazeja? – Zza zarośli wychynał redaktor z reżyserką.

Zawahałam się przez chwilę, ale ciała w bagnie nie da się zbyt długo ukrywać.

– Nie żyje, utonął – poinformowałam ich. – Trzeba będzie sprowadzić ekipę dochodzeniową. No i nikt nie może opuścić miejsca zdarzenia.

– Oczywiście – potwierdził Władek. – Zaraz zadzwonię po aspiranta Koniecznego i wytłumaczę jego żonie, że pan aspirant musi się zgłosić w sprawie trupa.

– O Boże, to straszne! – krzyknął redaktor i natychmiast przeszedł nad śmiercią Strasznego do porządku. – Ale dlaczego chce pan rozmawiać z jego żoną?

– Pan aspirant przebywa w spa w jej towarzystwie i muszę go powiadomić, że mamy już zaplanowanego trupa. – Władek puścił do mnie oko. – To znaczy jego żonę też powiadomić. Żeby pan aspirant mógł się oddalić z wyżej wzmiankowanego spa i zająć dochodzeniem.

– To potworne, taka nagła śmierć. – Jagoda Szrama też nie płakała nad Strasznym zbyt długo. Za to natychmiast wychyciła słowo, które jej zazgrzytało. – Zaplanowanego?

Uznałam, że nie będę tego wyjaśniać.

– Jakie to przykre, że Błazej umarł – westchnął redaktor. – Zwłaszcza w takim momencie. Miał ze sobą notes?

– Był zanurzony w bagnie – wyjaśniłam. – Trudno mi było sprawdzić mu kieszenie.

– Ale co się właściwie stało? – chciał wiedzieć Pogrobny.

– Pan Błazej najwyraźniej zбочył ze ścieżki i bagno go wciągnęło – wydedukowałam.

– I na pewno nie żyje? – dopytywał redaktor.

– Jak ktoś wpadł do bagna, nie można podchodzić do prawdopodobnego denata w celu stwierdzenia żywotności. Trzeba trącić go kijem. Jeśli to stuprocentowy denat, to się nie ruszy, natomiast jeśli niedoszły, to złapie się kija i można go uratować – pouczył mnie Władek.

– Trąciłam – potwierdziłam.

– I nadal nie żył?

– Z całą pewnością.

– Znakomicie! – Policjant zatarł ręce. – Zadzwonię do aspiranta Koniecznego.

– Wygląda na uradowanego – szepnął do mnie redaktor, obserwując ze zdumieniem Władka.

– Nowa sprawa do rozwiązania – wyjaśniłam.

– Pani Lucjo, rozmawiam z panem aspirantem, który przebywa aktualnie ze swoją i z moją małżonką i udostępnił rozmowę na kanale głośnomówiącym – oznajmił Władek, podchodząc i wręczając mi komórkę. – Pan aspirant życzy sobie, aby potwierdziła pani mocą swojego autorytetu, że naprawdę mamy tutaj denata.

– Przepraszam na moment. – Uśmiechnęłam się do redaktora i wzięłam do ręki telefon.
– Pani Lucjo, przekazano mi, że doszło do tragicznego zdarzenia i macie zmarłego.
– Rzeczywiście. Nie żyje Błażej Straszny – odparłam.
– Oj tam, oj tam, mniejsza z imionami i nazwiskami. To nie takie ważne – zachichotał nerwowo Konieczny.

– Jak pan sobie życzy – westchnęłam. – Niemniej on naprawdę nie żyje.
– Ależ doskonale rozumiem. Zimny trup, jak to mówią. Trup to trup, policjant musi jechać. – W głosie Koniecznego nadal można było doszukać się nut uśmiechu.

– Za chwilę zawiadomię miejscowy posterunek – przerwałam mu.
– Tak, tak, oczywiście. Ale po co się spieszyć? Lepiej, żebyśmy to my dokonali pierwszej obdukcji zwłok. Miejscowa policja zapewne nie ma z trupami zbyt wiele do czynienia.

– Mogliby je przynajmniej wyciągnąć – podsunęłam. – Tkwią w bagnie.
– W bagnie, powiada pani, pani Lucjo. Cóż za metafora ludzkiego losu. W bagnie żyjesz, w bagnie umierasz. Nie dla niego już życiowe przyjemności. Cukiernia, kino, wizyta u kosmetyczki lub okładanie gorącymi kamieniami i kąpiele w błocie.

– Melduję posłusznie, panie aspirancie, że denat tak jakby wykopał się terminalnie w błocie – wtrącił Władek do głośnika.

– No tak, tak – chrząknął Konieczny. – Ale to nie znaczy absolutnie, że każdy kąpiący się w błocie tak kończy.

– Melduję, że na bagnisku prawie każdy – chrząknął Władek.

– Ale ci, którzy kąpią się w basenach z podgrzanym błotem, są całkowicie bezpieczni. A skoro już mówimy o podgrzanym błocie i okładaniu gorącymi kamieniami, to niestety nie dla nas te atrakcje.

– Zdecydowanie nie dla nas, służba wzywa. – Władek wyprężył się przed komórką.

– W takim razie, skoro nie ma innego wyjścia, natychmiast do was jadę. Choć, rzecz jasna, wolałbym leżeć w ciepłym błocie i okładać się z żoną gorącymi kamieniami. Ty też, Władek, prawda?

– Eeeee, melduję panie aspirancie, że oczywiście – rzucił podkomendny.

– To komu w drogę do denata, temu czas – zaśmiał się Konieczny. – Pewnie zejdzie się nam przy nim do wieczora.

– Melduję, że na pewno, panie aspirancie – zaraportował Władek.

Połączenie zostało przerwane.

Daniel Pogrobny, do tej pory przysłuchujący się rozmowie z coraz większym osłupieniem, ośmielił się wreszcie coś powiedzieć:

– Ten policjant, z którym pani rozmawiała, jest prawdziwy?

– Najprawdziwszy.

– To mój szef – wyznał Władek z dumą.

– A czy on... już kiedyś prowadził jakieś dochodzenie? – zająknął się redaktor.

– No jak nie, jak tak. A Glazurnika z Pupek to kto złapał? Słyszał pan o tej sprawie? – napuszył się Władek.

Pogrobny z lekką paniką w oczach zaprzeczył ruchem głowy.

– Słynna historia. Glazurnik zamordował trzy osoby piłą do płytek. Gdyby nie aspirant Konieczny, to załatwiłby jeszcze taką Marysię, co na poczcie pracowała. Ale aspirantowi nie podpasowało, że kiedy się go, znaczy Glazurnika, pytaliśmy, co robił o godzinie, kiedy popełniono morderstwo, to ten zaraz zeznał, że o siedemnastej dwadzieścia był u teścia i pił bimber.

– A, czyli znał godzinę morderstwa, mimo że go o niej nie poinformowaliście – załapał redaktor.

– Co? A nie, nie. Tylko ten teść to był, za przeproszeniem, taka szuja, że nikogo bimberkiem nie częstował i wszyscy w miasteczku o tym wiedzieli. Więc Glazurnik się wkopał

i aspirant Konieczny od razu go przyskrzypił. W chwili gdy morderca już montował nową piłę, żeby pociąć tę biedną Marysię. A co była winna, że zostawiła mu awizo, a po paczce kazała przyjść na pocztę? Wiadomo, każdy wiącę puści albo słowem obelżywym rzuci, ale mordować się za to nie godzi.

– Pani Lucjo! – syknął mi do ucha Pogrobny, rozglądając się nerwowo na boki. – Czy pani też odniosła wrażenie, że ten cały Konieczny cieszył się, że mamy tu trupa?

– Może również liczy na szybkie rozwiązanie sprawy? – podsunęłam.

– A tak. Na pewno. – Redaktor się uspokoił, ale po chwili wyraz zaniepokojenia znowu pojawił się na jego twarzy. – Ale dlaczego twierdził, że również kąpie się w błocie, i to ciepłym? Myśli pani, że oni mają taki szyfr?

– Możliwe, że to kod operacji specjalnej. – Pokiwałam głową.

– Aha. – Pogrobny odetchnął. – Bo nie chciałbym, żeby tę sprawę wyjaśniał jakiś wariat. Albo, nie daj Boże, dwóch wariatów.

– Z pewnością tak nie będzie – zaręczyłam.

Zza bagna dało się słyszeć dźwięk silników oraz wyjąca syrenę. Po kilkunastu minutach z zarośli wyłonił się aspirant Konieczny.

Rozpromienił się na nasz widok, ale zaraz potem skrzywił.

– Powalałem całe buty błotem, a były zupełnie nowe. Teraz żona mnie zabije. Nie mogliście znaleźć tego trupa gdzie indziej? Powiedzmy, w tej cukierni w centrum. Mają pyszne eklerki.

Zerknęłam na redaktora, ale właściwie nie musiałam tego robić, żeby zgadnąć, jaką ma minę.

– Melduję, panie aspirancie, że nie było sposobności znaleźć trupa gdzie indziej – zraportował Władek.

– No dobrze już, dobrze, najważniejsze, że ominęły mnie te gorące kamienie – skwitował Konieczny. – I okłady z błota na twarz. Inaczej bym się nie wykaraskał. To co, lecimy? Spadamy na te eklerki?

– A trup? – wtrącił redaktor. – To znaczy pan Straszny. Może warto go obejrzeć? Przed eklerkami?

– A tak, trup, trup – mruknął pod nosem aspirant. – No, skoro już tu jestem, to może rzucę okiem. Gdzie on jest?

– W bagnie, ze trzydzieści metrów stąd. – Redaktor wskazał szuwały.

– Dobra, na minutkę – westchnął Konieczny. – Czego to nie trzeba robić w tej pracy. A może wybierzemy się potem na kręgle? – zapytał Władka, który entuzjastycznie przytaknął.

Daniel Pogrobny zrobił się najpierw biały, a później siny. Stanowił ciekawy obiekt do obserwacji, ale nie miałam czasu dłużej mu się przyglądać. Doszliśmy do drzewa, za którym tkwiły w bagnie zwłoki Błażeja Straszego.

– To tu, pani Lucjo? – spytał Konieczny i puścił do mnie oko.

Przytaknęłam.

– Muszę przyznać, że wymyśliła pani bardzo oryginalną scenę tej zbrodni. Oczywiście doceniam, ale naprawdę wystarczyłoby powiedzieć mojej żonie, że mamy zwłoki. Ona nigdy nie dopytuje o szczegóły, żona Władka też nie, prawda, Władek?

– Melduję, że prawda – przyznał podkomendny.

– Ale jestem pod wrażeniem pani starań, pani Lucjo. Rozumiem, że zrobiła to pani w imię naszej starej przyjaźni. – Aspirant wyjął komórkę i zaczął wystukiwać esemesa. – Piszę do żony, że do wieczora się nie wyrwę. I nie zdążę nawet na ostatnią turę gorących kamieni o dwudziestą pierwszą. Zaraz...

Twarz Koniecznego przybrała odcień białości, potem zieleni, a następnie lekko zsiniała, zanim powróciła do mniej więcej normalnej barwy.

- Co to jest? – spytał.
- Denat – wyjaśniłam najprościej, jak umiałam.
- Jak to „denat”?
- Pan Błażej Straszny. Nie żyje. Utopił się w bagnie.
- Ale jak to „nie żyje”?

Nie odpowiedziałam. Musiałam dać Koniecznemu czas, żeby się z tym oswoił.

- Pa-pani Lucjo – wyjąkał w końcu. – Umawialiśmy się, że trup będzie fikcyjny. Prawda, Władek?

- Melduję, że tak – odparł podkomendny, który też lekko pobladły wpatrywał się jak zahipnotyzowany w czubek głowy Straszniego.

- Dlaczego nikt wcześniej mi o tym nie powiedział? – Konieczny spojrzał groźnie na mnie i kolegę.

- Melduję, że ja też nie wiedziałem, panie aspirancie – sumitował się Władek.

- Ależ mówiłam – przypomniałam.

- Myślałam, że nie na poważnie – zirytował się Konieczny. – Od tej pory, jeśli najpierw się umawiamy, że coś jest na niby, a potem mówimy jednak poważnie, to dodajemy słowo klucz. I wszystko będzie jasne.

- Oczywiście. – Skinęłam głową. – Ma pan pomysł na to słowo?

- Może „elizjum”?

Rozdział 10

Jeśli wyobrażacie sobie komendanta policji z małego miasteczka jako wąsatego, łysiejącego faceta z nadwagą, który rzuca żarcikami i jest bratem łąką, to wasza wyobraźnia w sumie niezłe przedstawiła Henryka Czachowskiego, wezwanego w trybie pilnym na bagna przez burmistrza Trupika. Jeśli zaś uważacie, że w małym miasteczku burmistrz spędza czas wolny na grillu z komendantem policji, lekarzem oraz kilkoma innymi oficjelami, to także trafiliście.

Henryk Czachowski, zwany Heńkiem Czachą, był rumiany; jego wystający brzuszek za nic nie chciał się zmieścić do koszuli, a tkwiący w bagnie trup nie był dla niego problemem.

– Przykra sprawa – powiedział, rzucając okiem na ciało Błażeja Straszego i robiąc poważną minę, po czym natychmiast się rozpogodził. – Ale jak to mówią, życie toczy się dalej. Ekipa go wyciągnie, krótka piłka. I wracamy do gry. Widzimy się w sobotę? – Mrugnął do Trupika. – Ostatnim razem jak tańczyłeś, to myślałem, że padnę.

– Ekhm – odkaslnął burmistrz, spoglądając na nas nerwowo. – Zaprezentowałem fragment układu baletowego, na którym byliśmy z małżonką. Jako miasto objęliśmy go patronatem.

– Dobra, dobra, ale fikałeś jak koziołek – zachichotał Czacha.

– Wracając jednak do nieboszczyka, może szybko zamknijmy sprawę tego niefortunnego wypadku – westchnął Trupik.

– Krótka piłka, za godzinę gość będzie leżał w wygodnej trumience – przytaknął komendant. – Postawi się tablicę „wstęp wzbroniony”, bo poprzednią chuligani zniszczyli.

– Trzeba zbadać okoliczności śmierci – wtrącił się Konieczny.

– A pan to kto, żeby policjantowi radzić, co ma robić? – nastroszył się nagle Czachowski.

– Aspirant Konieczny, Mazurska Komenda Policji. Aktualnie na urlopie.

– No i bardzo dobrze, zażywać ruchu, mamy dobre spa, można zabiegi zamówić, nawet masaż gorącymi kamieniami. – Czacha wzruszył ramionami.

Mina Koniecznego się wydłużyła, a po twarzy Władka przebiegł grymas paniki.

– Być może doszło do morderstwa – wycedził aspirant.

– Co też pan mówi! – wykrzyknął burmistrz. – Morderstwo byłoby złe dla miejscowości. Wczasowicze mogliby wyjechać w obawie o swoje zdrowie, a nawet życie, a nowi jeszcze wynieśliby się do konkurencji.

– Morderstwa mają to do siebie, że nie kierują się względami turystycznymi – wyjaśnił mu Konieczny.

– Widać przecież na pierwszy rzut oka, że pan Straszny samodzielnie wpadł do bagna. – Trupik machnął ręką. – Heniu, no nie tak było?

– Przecież nikt go nie wepchnął. – Czacha pokiwał głową.

– A skąd pan wie? – zapytał Konieczny.

– Jak się wpycha kogoś do bagna, to ten ktoś ma na twarzy wyraz przerażenia – perorował Czachowski. – A tu, proszę spojrzeć, denat ma bardzo spokojną minę. Można by nawet powiedzieć, że siedzi przed telewizorem i słucha audycji o pogodzie, w której mówią, że jutro jest spodziewany lekki deszcz. A on sobie myśli: „Sądziłem, że będzie jednak bezchmurne niebo”.

– Skądże znowu – zaprotestował Konieczny. – Wyraźnie widać, że jest przestraszony i wstrząśnięty. Nawet usta ma wykrzywione.

- Bo jak już wpadł, to się przestraszył. – Czacha obstawał przy swoim. – Każdy by się przestraszył, machał rękami i nogami. No więc to jest raczej takie zaskoczenie.
- Ależ skąd! Przestrasz i walka. Władek, zaświadc.
- Melduję, że zaświadczam, panie aspirancie. Kiedyś mój wujek wracał po pijaku furmanką z targu i nagle mu się wydało, że Niemcy go atakują. Wskoczył na drzewo, żeby tych Niemców zmylić, a koń pociągnął furmankę pustą do domu. Następnego dnia poszli go szukać i jak znaleźli wuja na tym drzewie, to okazało się, że śpi i ma właśnie taki wyraz twarzy – powiedział Władek.
- I naprawdę byli tam jacyś Niemcy? – zapytał Czacha.
- No skąd, w dziewięćdziesiątym roku na Podlasiu? Wujek najwyczajniej się napił. Konieczny zmierzył Władka złym wzrokiem.
- Nie o taką opowieść mi chodziło.
- Ależ to świetnie pasuje – wykrzyknął burmistrz. – Wypadek bez udziału osób trzecich.
- A znowu innego razu... – zaczął Władek.
- Aspirant wznosił oczy ku niebu.
- Daj lepiej spokój – syknął.
- ...dach stodoły spadł sąsiadowi wujka na łeb, MasiECKi mu było. I jemu też zastygł taki wyraz zdumienia na twarzy – dokończył Władek. – Pewnikiem zastanawiał się, co się stało, że wszedł do stodoły, a ona zleciała mu na głowę.
- No właśnie, przypadek rządzi ludzkim życiem – westchnął burmistrz. – Nie znasz dnia ani godziny i tak dalej.
- No właśnie nie przypadek, bo ten MasiECKi zaorał wujowi miedzę. To wujo wiadomo, że się wkurzył. W nocy podpiłował przypory dachu i jak sąsiad wszedł do stodoły, to mu się na łeb zwała – dodał Władek.
- I co z tym MasiECKim? – zapytał Konieczny.
- A nic, ładny miał pogrzeb. Wszyscy przyszli i ksiądz tak wzruszająco mówił. A wujo największy wieniec kupił, bo chyba go sumienie trochę gryzło. – Podkomendny pokiwiał głową.
- Ale wuja wsadzili? – zainteresował się aspirant.
- Wiadomo, że nie. – Władek wzruszył ramionami. – Nieszczęśliwy wypadek. Stodoła stara, to czemu się miała nie zawalić MasiECKiemu na łeb. A że się zdumiał i tak mu zostało, też nic dziwnego.
- No proszę, czyli wyszło na moje! – zawołał Konieczny. – Morderca chodzi wolny, bo policja nie sprawdziła wszystkich możliwych koincydencji.
- Sprawdziła, tyle że na posterunku był wtedy taki Węglarz, co na ryby z wujem chodził. To tylko zapytał wuja, czy on miał z tym coś wspólnego, a wujo przysiągł na Najświętszą Panią, że nie miał.
- Czyli skłamał.
- U nas we wsi wszyscy wiedzą, że Najświętsza Panią niejedno zrozumie i przebaczy – wytłumaczył Władek.
- Gdyby jednak pojawiła się ekipa policyjna z innego ośrodka i przeprowadziła wnikliwe śledztwo, to morderstwo i osoba mordercy wyszłyby na jaw – zauważył Konieczny.
- Żeby wuja wsadzili? Niedoczekanie! – oburzył się Władek. – Z tego MasiECKiego to karnia była jakich mało. Traktor raz podprowadził sołtysowi i w stawie go utopił.
- Sołtysa? – zdumiał się Trupik.
- Nie, traktor, ale prawie nowy, piętnaście lat miał.
- Panowie, przecież Błaziej Strasznym był pierwszy raz w Kościanym Zdroju. Nie ma mowy, żeby ktoś się na nim mścił. – Burmistrz usiłował przekonać pozostałych. – Po prostu zachciało mu się pójść za potrzebą i już.
- Krótka piłka – przytaknął Czacha.

– Tego nie wiemy – powiedział Konieczny srogo. – Nikt też nie postawił sobie pytania, dlaczego musiał iść za potrzebą.

– Bo mu się pewnie zachciało sikać, panie aspirancie – zaraportował Władek. – Ale ja wiem, kto go zabił.

Oczy wszystkich obecnych zamieniły się w wielkie znaki zapytania.

– Melduję, panie aspirancie, że to upiór jest sprawcą.

– Szybkie wytypowanie zbrodniarza – przyznał z uznaniem Czacha.

– Dlaczego tak uważasz? – indagował Władka Konieczny.

– Bo upiory tak robią, panie aspirancie. Wciągają ludzi w bagna. Mój dziadzius zawsze powtarzał, żeby uważać po nocach, bo jak upiór wylezie i wciągnie, to już po człowieku.

Konieczny też wciągnął kilka razy, tyle że powietrze w płuca. Uznałam, że wkroczę do akcji, zanim zabraknie mu tchu.

– Myślę, że śledztwo jest jednak konieczne. Ktoś przesunął dwie tyczki wskazujące bezpieczną drogę wśród bagien. – Na dowód swoich słów wyciągnęłam komórkę i pokazałam zgromadzonym zdjęcie, które dostałam od wcześniej przekupionych nastolatków. Tyczki na nim rzeczywiście były bliżej suchego łądu.

Kiedy Trupik z Czachowskim poszli wezwać ekipę dochodzeniową, Konieczny spojrzął na mnie z uznaniem.

– Niezła robota z tymi tyczkami. Czyli ktoś go zwabił nad bagno? To mamy problem, pani Lucjo.

– Tak?

– Dziś wieczorem przybywa do spa na wypoczynek inspektor Wąski z małżonką. Nie będzie zachwycony trupem. Nie przyjeżdża przecież, żeby prowadzić dochodzenie. Wyznam pani, pani Lucjo, że inspektor Wąski wprost uwielbia pobyty w spa, a najbardziej podobno okładanie gorącymi kamieniami. – Mina Koniecznego sugerowała, że nie rozumie tego upodobania swojego szefa, ale i tak bezgranicznie go podziwia. – Kiedy przybył na wypoczynek do Łeby, gdzie również było spa, i trafił na nierozwiązaną sprawę Rybaka bez głowy, dostał szau.

– Co się stało Rybakowi?

– To bez znaczenia. Grunt, że inspektor Wąski nienawidzi, gdy takie koincydencje zakłócają mu wypoczynek. Wie pani, co teraz robi ten komendant z Łeby?

– Nie mam pojęcia.

– Jest ochroniarzem w centrum handlowym. Pani Lucjo, to koniec! Kiedy inspektor Wąski dowie się, że mamy trupa, a ja nie wiem, kto jest mordercą, pozostanie mi pilnowanie parkingów, a pani zostanie sama ze swoimi mandatami.

– Zobaczę, co da się zrobić – obiecałam.

Z litości nie wyprowadziłam go z błędu. Nie miałam wątpliwości, że z mandatami też dałabym sobie radę bez jego pomocy.

Rozdział 11

Wróż zapasowy Euzebiusz miał rozwichrzone włosy i błędny wzrok, a spodnie całe w kawie, ponieważ kubka z napojem nie wypuszczał z dłoni ani na moment. Też byście tak wyglądali, gdybyście musieli na zmianę wróżyć ze szklanej kuli i stawiać tarota, i to na akord, bo klientki dzwoniły co chwila. Ja natomiast byłam zadowolona. Naprędcie zaaranżowałam showek na szcztotki jako stanowisko dla zapasowej szklanej kuli. Z pewnością nikt z dzwoniących się nie domyślił, że Euzebiusz ma pod nogami karton ze środkami czyszczącymi, a za powieszoną na tylnej ścianie kotarą ustawione są w rzędzie mopy. Niestety nic nie mogłam poradzić na to, że migająca żarówka, sygnał przychodzącego połączenia, wciąż błyskała nad drzwiami, za którymi leżała zmarła Eufemia. Wróż Euzebiusz już trzy razy się pomylił i wpadł do środka, a potem jeszcze szybciej wypadł, krzycząc: „Sorry, przepraszam bardzo”, jakby denatka mogła to usłyszeć.

Właśnie miał chwilę przerwy i klapnął w kuchni obok mnie, Kowalskiego, Koniecznego, Władka i Jacka Wężyka. Kowalski zdecydowanie powinien dokupić drugą kanapę.

– Ja tak nie mogę dłużej – jęknął wróż i lyknął kawy z kubka. – Jakaś Agnieszka domaga się, żebym powiedział jej, co dalej z tym facetem z kryształowej kuli. Skąd ja mam wiedzieć, co to za gość. Przecież ona – wskazał na drzwi, za którymi znajdowały się zwłoki wróżki – już mi nie powie. A poza tym potrzebuję dłuższych przerw, bo pieprzy mi się tarot z kulą. Dzwoni klientka i pyta, co widzę. Mówię jej, że wychodzi Mag i trzy Kielichy, a ona pyta, czy w kuli.

– Kiedyś się powiększy zespół – zapewnił Kowalski.

– Ale kiedy? – westchnął Euzebiusz. Wysączył ostatnie krople kawy, po czym wstał i włączył czajnik, żeby zalać kolejną plukkę. – Długo tak nie pociągnę.

– Pani Łucjo, niech pani coś wymyśli – zażądał biznesmen. – Akurat teraz mamy katastrofę, a pani jest specjalistką od katastrof. Klientki odejdą nam do innych wrózek. A właśnie. – Uniósł palec wskazujący. – Może to wszystko jest sprawką konkurencji, która wysłała swoich ludzi, żeby pozbyć się Eufemii i zrobić tu niezły rozpier... chaos?

– Mam pewien pomysł – wtrąciłam.

– Ale pani Łucjo, to nie czas na pomysły, pora przejść do czynów!

– Jeśli o mnie chodzi, to jedno i to samo – uświadomiłam go i wstałam z miejsca.

Skierowałam się w stronę drzwi. Kowalski odprowadził mnie zdumionym spojrzeniem, natomiast Wladek zerwał się z krzesła i potruchał za mną ze wzrokiem utkwionym w podłogę.

– Zaopiekuję się panią Lucją! – zawołał w stronę Koniecznego, który tylko kręcił cały czas głową. Nie usłyszałam, co wymamrotał pod nosem, ale mogłam się założyć, że było tam słowo „specyficzny”.

Zeszłam do kantorku. Ciec uśmiechnął się na mój widok.

– Pani kolega sobie przypomniał? – zapytał.

Pokręciłam głową.

– Ale pani od razu mnie rozpoznała.

To było tak oczywiste, że nawet nie chciało mi się potwierdzać. Zamiast tego powiedziałam:

– Panie Jurku, miałabym robotę.

– Zamieniam się w słuch. – Staruszek uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Na górce, ze szklaną kulą. Stawka godzinowa razy dwa.

– Razy trzy – odpowiedział natychmiast. Dobry był, spodziewał się tej propozycji.

– Razy trzy – potwierdziłam. – I potrzebuję klucza do Iglotexu na parterze. Mają tam chłodziarki przemysłowe, prawda?

– Oczywiście, jedna prawie cała wolna. Reszta z zielonym groszkiem i marchewką.

– Nie muszą wiedzieć, czyż nie? – spytałam jeszcze dla porządku.

– Razy cztery. – Wyszczерzył się jeszcze bardziej, chociaż wydawało się to niemożliwe.

– Razy cztery – zgodziłam się.

Władek obserwował wszystko z szeroko otwartymi oczami. Ciec wręczył mu klucz. Poli-cjant chwycił go odruchowo i teraz patrzył to na przedmiot w dłoni, to na mnie, to na do-zorcę.

– Na pana miejscu udałbym się do samochodu i jeśli znajdowałoby się w nim coś, co mo-głoby się zepsuć – mówię oczywiście czysto hipotetycznie – zaniósłbym to coś do sali sto trzynaście, do chłodziarki po prawej stronie – powiedział ciec. – A my tu z panią Lucją bę-dziemy jeszcze chwilę konwersować i niczego nie zauważymy.

– Ale czego? – wydukał Władek.

– No właśnie niczego – wyjaśnił staruszek.

Po twarzy Władka nagle przebiegł cień zrozumienia. Zaciśnął dłoń na kluczu i pędem ruszył do samochodu. Dozorca popatrzył za nim z politowaniem.

– Ciężki przypadek.

Rozdział 12

Niewiele rzeczy może zburzyć spokój ekipy filmowej. Najwyraźniej zwłoki najpopularniejszego pisarza horrorów pływające w bagnie do nich nie należą. Nawet Marcelina uroniła tylko kilka łez nad losem narzeczonego, a potem poprosiła charakteryzatorkę, żeby sprawdziła, czy oko jej się nie rozmazało.

Jednak tym, co definitywnie zburzyło spokój zgromadzonych z powrotem w chacie, był powrót Beaty Muerte. Gdy tylko ukazały się światła samochodu, a potem zgasy i umilkł dźwięk silnika, więc stało się jasne, że za chwilę ukaże się sama Beata, akcja zaczęła przyspieszać jak w filmie z Tomem Cruise'em.

– Pani Lucjo, tak się zastanawialiśmy, czy może nie dałoby się jakoś... przemilczeć przed panią Muerte wypadku pana Straszego – zaczął Daniel Pogrobny.

– Przemilczeć? – Uniosłam brwi.

– To bardzo zapracowana producentka, nie ma czasu zajmować się wszystkim – wyjaśnił. – Nie chcemy przecież niepotrzebnie zawracać jej głowy jakimiś drobiazgami.

– Śmierć w bagnie autora książki, według której kręcony jest film, ma być właśnie takim drobiazgiem? – upewniłam się.

– Pani Muerte mogłaby dojść do wniosku, że to oznacza koniec projektu – zmienił linię redaktor. – Bo nie znamy zakończenia historii.

– A znamy? – zapytałam.

– Oczywiście nie wszystko jest jasne, ale w ostatnich słowach pan Straszny przekazał intencje dotyczące zakończenia – zauważył Jakub Blizna.

– Dla Kościanego Zdroju zamknięcie tego projektu oznaczałoby koniec marzeń o ugoszczeniu turystów. A przecież chcemy, żeby zjechali tu zachęceni wciągającą akcją na ekranie, a potem już zostali, oczarowani urodą naszego kurortu – powiedział burmistrz ponuro. – Jestem pewien, że pan Błażej nie chciałby, żeby ludzie tracili pracę, matki musiały odmawiać dzieciom słodyczy i przyjemności, ojcowie zaś...

– Tak, zrozumiałam – przerwałam mu. – Trudno jednak udawać, że pan Straszny żyje.

– Ależ nigdy bym się do tego nie posunął! – Daniel Pogrobny potrząsnął z oburzeniem głową. – Po prostu nie epatujmy tą śmiercią pani Muerte, która, nawiasem mówiąc, będzie tu za kilka sekund. Już mignęła za drzewami.

– A konkretnie w jaki sposób nie powinniśmy epatować? – chciałam wiedzieć.

– Pan aspirant Konieczny wyszedł wykonać kilka połączeń i to się bardzo dobrze składa – zaczął Pogrobny. – Wykorzystajmy ten czas, żeby porozmawiać z panią Muerte i zapewnić ją, że wszystko jest w porządku. A potem ona odjedzie do innych zajęć i każdy będzie zadowolony.

Dalsze rozważania przerwał Władek, który razem z charakteryzatorką wpadł z impetem do chatki.

– Gotowe! – oznajmił. – Tak jak pan prosił.

– Prosił? – Spojrzałam pytająco na redaktora.

Daniel Pogrobny machnął ręką.

– Drobiazg. Po prostu poprosiłem państwa, by zrobili coś ze zwłokami pana Błażeja. Żeby nie rzucały się za bardzo w oczy.

– A co, jeśli jednak rzucają się w oczy pani Muerte? – zapytałam. – Zupełnie przypadkowo?

– Nie rzucają. – Władek zatarł ręce. – Narzuciliśmy na nie z panią Anią siatkę maskującą.

– Została mi z filmu wojennego – wyjaśniła Anna Potworowska.

– No, widzę, że wreszcie mamy lokalizację, o jaką nam chodziło – rozległ się głos Beaty Muerte. Jego właścicielka wyglądała, jakby właśnie wróciła z masażu ujędrniających i relaksujących. Uśmiechnęła się uroczo. – Mam nadzieję, że Błażej jest zadowolony. Ale gdzie on zniknął?

– Pracuje nad zakończeniem – pospieszył z wyjaśnieniem Pogrobny. – Oczywiście mamy je już od dawna gotowe, ale pod wpływem inspiracji chatką uznaliśmy, że trzeba wyczelować kilka dialogów. Pan Błażej zamknął się w drugiej izbie właśnie w tym celu.

– Zajrzę do niego. – Beata Muerte uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

Redaktor przesunął się w prawo, zastawiając sobą drzwi do drugiego pomieszczenia, a właściwie to, co z nich zostało.

– Nie powinniśmy go rozpraszać. Tylko reżyserka i scenarzysta mogą wchodzić. – Ski-
nął na Jakuba. – Może sprawdzisz, na jakim etapie jest praca?

Blizna popędził do drugiej izby. Pogrobny otarł pot z czoła.

– Czyli właśnie tu odbędzie się rozprawa z upiorem? – Beata Muerte rozejrzała się po chacie.

– Dokładnie tak – potwierdził z entuzjazmem redaktor. – Julia dociera do chatki. Wy-
daje jej się, że jest bezpieczna. Nie wie jednak, że w tym miejscu przed wiekami żyła po-
tężna czarownica, spalona na stosie przez miejscowego magnata, która do dziś chce się na
nim zemścić. Tymczasem do Julii zmierza jej kochanek. Jest potomkiem tego magnata,
choć nie ma o tym pojęcia.

– Może wystarczy sam upiór, żeby nie mnożyć wątków – zasugerowała Beata Muerte.

– Możemy nie mnożyć – zgodził się redaktor. – Kuba, wykreślcie czarownicę! – rzucił
w stronę drzwi do pokoju.

– Dobra! – odkrzyknął scenarzysta.

– Za to sama Julia potrzebuje jakiegos wzmocnienia – ciągnęła producentka. – Kobiecej
bohaterce nie wystarczy dziś uroda. Musi mieć moc. Jak ta z Wiedźmina, jak jej było?

– Yennefer? – podsunęłam.

– Na przykład.

– Kuba, wzmocnijcie bohaterkę! – rozkazał Pogrobny.

– Wzmacniamy! – potwierdził scenarzysta.

Beata zmarszczyła brwi i nagle szybkim krokiem przeszła w stronę drugiej izby i wpa-
dła do środka. Jakub Blizna spojrział na nią z przerażeniem.

– Co zrobiliście z Błażejem Straszny? – zapytała bardzo miłym, modulowanym gło-
sem.

Blizna milczał. Milczał też Pogrobny. Milczała Anna Potworowska, która mięła w pal-
cach fałdę bluzki. Milczał Władek. Milczała Marcelina i jej filmowy partner, Hubert Ciem-
nicki, który grał upiora. Milczał burmistrz Trupik. I milczałam ja, bo odpowiadanie na py-
tania Muerte nie należało do moich obowiązków służbowych.

– Jeszcze raz pytam: gdzie jest Błażej?

W chacie nadal panowała cisza, którą dałoby się pokroić nożem.

– Pytam po raz ostatni! – Beata Muerte okrasiała to zdanie uroczym uśmiechem.

To Władek nie wytrzymał napięcia.

– Melduję posłusznie, że wspomniany obywatel terminował życie poprzez utopienie się
w bagnie – wyrecytował i strzelił obcasami.

Rozdział 13

– A więc nie mamy autora ani zakończenia scenariusza – westchnęła Beata Muerte. – W tej sytuacji nie pozostaje mi nic innego, jak tylko...

– Pani Lucjo – jęknął Pogrobny. – Błagam, niech nas pani ratuje!

– ...nakręcić film dokumentalny o tragicznym wypadku autora horrorów – postanowiłam włączyć się do dyskusji. – Który zginął śmiercią, jaką zaplanował dla swoich bohaterów.

– Film dokumentalny o martwym autorze? – Beata Muerte uśmiechnęła się tym razem do mnie. To był jeden z tych morderczych uśmiechów. Maria Antonina zapewne tak właśnie się uśmiechała, radząc rozjuszonemu tłumom, by jadły ciastka, jeśli nie mają chleba.

– Dokładnie. – Uniosłam wyżej podbródek. – Tajemnicza śmierć na planie filmu. Kłątwa? A może przeznaczenie? Właściwie mógłby powstać cały serial podsuwający liczne pytania, na które będą mogli odpowiedzieć tylko widzowie, we własnych głowach. Z najnowszych statystyk wynika, że seriale non-fiction mają coraz większą oglądalność na platformach streamingowych.

– To nas zrujnuje – załamał się Trupik.

– Tłumy turystów będą zapewne chciały obejrzeć miejsca związane z filmem, na którego planie doszło do zabójstwa – rzuciłam. – Może dobrze byłoby zainwestować w jeszcze jeden hotel i restaurację...

– Serial dokumentalny... – Beata Muerte znowu uśmiechnęła się tym swoim makabrycznie uroczym uśmiechem. Wyjęła z kieszeni komórkę i zawiesiła palec nad ekranem. – Właściwie to strzał w dziesiątkę! Dzwonię do stacji. Ale na pewno nie będzie trzeba ich przekonywać. Kupią to na pniu.

Odwróciła się do nas plecami i przyłożyła telefon do ucha.

– A więc to nas nie zrujnuje? – Burmistrz rozejrzał się z nadzieją po twarzach zgromadzonych.

Jego niepewność nie trwała długo.

– Mamy dodatkowe dziesięć milionów. Plus dofinansowanie efektów specjalnych w horrorze – zawiadomiła Beata Muerte, wkładając telefon do kieszeni.

– Ja wierzyłem w ten projekt od samego początku – zapewnił Trupik. – Mogę przekonać radę miasta, żeby nazwała to miejsce Uroczyskiem Straszego. Lub Straszym Uroczyskiem. Wypuścimy koszulki, a także linię kubków, długopisów i innych gadżetów. Może z portretem pana Błażeja...

– Copyright na wizerunek pisarza ma wyłącznie wydawnictwo! – zaperzył się redaktor. – Jego nazwisko też w pewnym sensie należy do nas.

– Jego nazwisko to przymiotnik pospolity – zauważyłam.

– Dogadamy się – uznał optymistycznie Trupik. – W Halloween moglibyśmy corocznie organizować w Kościanym Źroju festiwal filmów grozy. I wieczory autorskie poświęcone księżkom pana Straszego.

Beata Muerte wyszła z chatki i po chwili wróciła z Jagodą Szramą, która najwyraźniej usłyszała już o dziesięciu milionach, bo też wyglądała na szczęśliwą.

– Od razu zaczniemy filmować. – Reżyserka wyciągnęła z plecaka małą kamerę. – Do dokumentu zdjęcia z ręki będą jak znalazł. Kuba, wchodzisz z prologiem.

– Błażej Straszny nie przewidział, że ten ponury jesienny dzień, dzień, w którym on sam znalazł doskonałą lokalizację do ostatniej sceny swojego horroru, stanie się również dniem, w którym zbrodnicza ręka zakończy jego życie.

– Doskonale – uznała reżyserka. – A teraz jeszcze raz, tylko idź w stronę drzwi i na koniec je otwórz.

– Nikt z obecnych nie przypuszczał, że Błażeja Straszego nie ma już wśród żywych. Oczywiście z wyjątkiem mordercy. Również policja znalazła się w ślepym zaułku półprawd i niedomówień.

– Pan będzie naszym konsultantem kryminalnym. – Beata Muerte przyjrzała się od stóp do głów Władowi. Zdecydowanym ruchem poprawiła mu kołnierz kurtki, wyjęła z włosów listek i nie przestając się miło uśmiechać, popchnęła podkomendnego w stronę reżyserki.

– Co pan pomyślał, widząc w bagnie zwłoki uznanego autora powieści grozy? – zapytała Jagoda Szrama, kierując na policjanta kamerę.

Władek zaczerpnął tchu.

– W naszej wiosce żył raz stary Bonifacy. Zawsze powtarzał: „Nie leż w bagno, bo się utopisz”. Ale pewnego razu popił z kuzynem, zresztą straszonym łązęgą, i poszedł za potrzebą, źle skręcił i tak go znaleźli dopiero na wiosnę. – Władek westchnął ciężko.

W tym momencie drzwi się otworzyły i stanął w nich Konieczny z lekkim obłędem w oczach.

– Zwłoki zniknęły – oświadczył.

– Ciężko! – zawołała Jagoda Szrama. – To było świetne.

Rozdział 14

Wyobrażacie sobie, jaką minę miałby Elon Musk, gdyby ktoś usiłował go przekonać, że maszyna parowa to idealny napęd do samochodu autonomicznego? Albo szef Apple'a słuchający o zaletach androida. Myślicie, że mruzczałby do siebie: „Do diaska, ten android to nie- zła myśl”?

No właśnie. A i tak byłoby to bardziej prawdopodobne niż przekonanie Koniecznego do nakręcenia dokumentu o śmierci Błażeja Straszego. W którym to dokumencie aspirant, chcąc nie chcąc, musiałby zagrać jedną z głównych ról.

– Kamera będzie panu towarzyszyć niczym ulotna mgielka, w zupełnie niezauważalny sposób – przekonywał Pogrobny.

Policjant kręcił głową, a wyraz twarzy miał wyjątkowo zacięty.

– Stanie się pan rozpoznawalny – kusila Jagoda Szrama.

Konieczny nadal był zacięty.

– Pani Lucjo, może pani znajdzie sposób – szepnął w końcu zrozpaczony redaktor po kwadransie usilnych starań.

– Być może. – Skinęłam głową. – Ale to będzie trudne.

– Błagam panią.

Cóż, mam miękkie serce. Więc chociaż nasza umowa nie obejmowała roztaczania przed policjantami uroków, jak to wspaniale jest zostać gwiazdą reality TV, podałam Pogrobnemu nową stawkę godzinową. Najpierw zachwiał się i zblił, a potem wymamrotał: „Wydawnictwo na to stać”, zacisnął powieki i skinął głową.

Podeszłam do Koniecznego, który zerknął na mnie podejrzliwie.

– Pani Lucjo, przecież już wyraźnie powiedziałam. Nie ma mowy!

– Oczywiście – potwierdziłam. – Wcale nie będę próbowała pana przekonywać. Tylko trochę mi szkoda inspektora Wąskiego.

– A cóż on ma z tym wspólnego? – zdumiał się aspirant.

– Nic, niestety – westchnęłam. – A mógłby mieć. Ten dokument zostanie wyemitowany na całym świecie. Można opowiedzieć o sukcesach polskiej policji, podkreślając zasługi inspektora Wąskiego. Oczywiście w Polsce jego sława jest już należycie ugruntowana. Ale w innych krajach, nie mówiąc już o kontynentach: niekoniecznie. Idę o zakład, że mieszkańcy, dajmy na to, Republiki Południowej Afryki, zapytani o jego dokonania, mieliby spore trudności z odpowiedzią. A obywatele Kanady również musieliby się poważnie zastanowić, żeby wyliczyć jego uwięzione sukcesem sprawy i żadnej nie pominąć.

Na twarzy Koniecznego odbił się wysiłek umysłowy i walka wewnętrzna.

– Mogłoby się nawet zdarzyć – ciągnęłam – że ktoś niezycyliwy doniósłby inspektorowi Wąskiemu o tej straconej szansie na popularyzację wiedzy o polskiej policji i rozświetlenie jej na świecie.

Walka wewnętrzna na twarzy aspiranta zamieniła się w przerażenie.

– Po namyśle stwierdzam, że taki program mógłby odegrać dużą rolę oświatową i popularyzatorską – uznał.

– Niewątpliwie – potwierdziłam.

– Ba, ponieważ pełniłby również funkcję reklamową.

– Oczywiście – przytaknęłam.

– Niewykluczone, że można by mu przypisać także rolę wychowawczą i program powstrzymywałby niedoszłych przestępców przed popełnianiem czynów karalnych – zwrócił uwagę Konieczny. – Gdyby zobaczyli na ekranie skuteczność policji i zdecydowane posu-

nięcia inspektora Wąskiego, może pomyśleliby, że działalność przestępcza jest z góry skazana na porażkę, i zaniechaliby jej...

– Bardzo prawdopodobne – ciągnęłam.

– W takim razie nie mam innego wyjścia, jak tylko skorzystać z propozycji. – Konieczny ustąpił.

– Znakomicie – ucieszył się Pogrobny.

– Musimy jednak znaleźć zwłoki pana Straszego – przypomniał aspirant.

– Włączam kamerę – oznajmiła Jagoda Szrama.

– Szukanie zaginionego denata, który został przykryty materiałem maskującym i teraz nie wiadomo, gdzie jest, nie może być przedmiotem filmu – nasrożył się Konieczny.

– Pokażę miejsce – zaferował się Władek.

– Miałeś z tym coś wspólnego? – Szef przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Tak. Nie. To znaczy być może jestem w posiadaniu pewnych informacji – wyjąkał podkomendny.

– Skąd? – indagował Konieczny.

– Tajne źródło osobowe – zameldował Władek.

– Mówiłam, że to znakomity materiał kryjący. – Potworowska pokiwała głową. – Przy odpowiednim budżecie wszystko jest możliwe.

– Jak postępy w śledztwie? – przerwał nam znajomy głos i zza kępy drzew wyłonił się komendant Czachowski. Wyglądał na zrelaksowanego i zadowolonego z siebie.

– Jesteśmy blisko – zawiadomił go zwięźle aspirant.

– Krąg podejrzanych się zawęży, co? – zaśmiał się Czacha, po czym potoczył dookoła wzrokiem. – A gdzie ciało? Ekipa już zabrała?

– Zwłoki biorą udział w rekonstrukcji wydarzeń – wyjaśnił Konieczny.

– Znaczą poruszone? – zdumiał się Czacha.

– Trwają działania operacyjne, mające na celu zrekonstruowanie czynności, jakie denat wykonywał w ostatnich godzinach życia – chrząknął aspirant.

– Znaczą nie ma ciała?

Uznałam, że czas wkroczyć i pomóc Koniecznemu.

– Wspaniale, że zdążył pan wszystko przygotować na przyjazd inspektora Wąskiego – powiedziała do Czachowskiego.

– O tak. Posterunek wręcz łśni. – Czacha wyprężył się dumnie.

– Mundury z pewnością również. – Uśmiechnęłam się.

– Mundury? – zapytał z lekkim przestradchem.

– O tak. – Pokiwałam głową. – W sprawie młotkarza z Jastarni inspektor Wąski był bardzo zdegustowany. Kiedy przybył do miejscowej komendy, już pobieżna kontrola mundurów wykazała braki w guzikach oraz niedostateczny stopień wyprasowania. Inspektor był tym tak zawiedziony, że komendant odczuł to, niestety, na własnej skórze.

– Jak odczuł? – wyjąkał Czachowski, ocierając pot z czoła.

– Wydaje teraz tablice rejestracyjne. Całe szczęście w pana przypadku tak się nie stanie i wszystko jest w należyтым porządku. Czy to włos? – Zgarnęłam mu z munduru kępki sierści.

– Mam kota. – Komendant przełknął ślinę. – Pers, trochę linieje. Zmienia sierść na zimę.

– Inspektor Wąski kocha zwierzęta, ale nie w formie sierści na mundurze – przyłączył się do mnie Konieczny.

– Muszę jeszcze udać się w pewnych sprawach na posterunek – bąknął pod nosem Czacha i odszedł szybkim krokiem.

– Melduję, że odkryłem miejsce pobytu denata – zaraportował Władek, wylaniając się zza drzewa.

– Znakomicie, znowu mamy zwłoki – ucieszył się Konieczny i spojrzął na reżyserkę. – To się wytnie, prawda?

Szrama potaknęła z entuzjazmem i znowu uniosła kamerę.

– Dlaczego on w ogóle opuścił chatę? – zastanawiał się aspirant. – To bardzo dziwne, że tak nagle wybiegł. Muszę pani powiedzieć, pani Lucjo, że analiza ludzkich zachowań bardzo pomaga w odkryciu winnego. Nagłe wybiegnięcie denata świadczy o silnym wzburzeniu.

– Mógłby pan stanąć na tle tej powykręcanej kępy drzew? – przerwała mu Jagoda Szrama, nagrywając go kamerą.

– Eeeee, tak – mruknął Konieczny i wpatrzył się w obiektyw. – Inspektor Wąski zawsze twierdzi, że najważniejsza jest drobiazgowa rekonstrukcja i wejście w skórę denata.

– Ja tam myślę, że nie wchodziłbym w skórę nieboszczyka, bo to przynosi nieszczęście – wszedł mu w słowo Władek. – Był w wiosce u nas taki jeden Mikołaj. Dziadziś mu zawsze powtarzał, żeby nie wracał po pijaku do domu, jak ten Grzegorz, co zasnął i zamarł. A Mikołaj nie posłuchał i terminował życie w taki sam sposób.

– Pytanie brzmi: co przypomniał sobie denat, że aż musiał wybiec z chaty? – Konieczny zignorował podwładnego. – Postawiłbym tezę, że chodziło o jakieś zdarzenie, które go wzburzyło.

– Właściwie to dostał wiadomość – uściśliłam.

– Nie posiadałem tej informacji. – Aspirant spojrzął na mnie z wyrzutem.

– Zapewne dlatego, że zapomniał pan zapytać. Każdemu może się zdarzyć – pocieszyłam go.

– Ach, czyli pan Straszny nie wybiegł tak po prostu, tylko został wywabiony. Oczywiście przez mordercę. To implikuje następne pytanie: co zawierała wiadomość? – Konieczny mówił do kamery. – Oczywiście możemy zwrócić się do operatora komórkowego z prośbą o udostępnienie danych. Niestety w tym celu muszę wypełnić druczki, uzyskać podpisy, krótko mówiąc: będzie to trwało tydzień. – Zrobił pauzę i zapytał reżyserkę: – To się wytnie, prawda? Mogłoby to rzucić pewien cień na działalność polskiej policji.

– Ja znam taką jedną Irenkę, która pracuje w centrum dyspozycyjnym telefonii komórkowej. Bardzo sympatyczna kobieta. Mogę do niej zagadać i dostaniemy jutro treść wiadomości – podsunął Władek.

– Świetnie – rozchmurzył się Konieczny. – To też się wytnie? – zapytał Jagody Szrama.

– Oczywiście – potwierdziła reżyserka.

– Może pan też zapytać mnie o treść tej wiadomości – odpowiedziałam. – Tak się składa, że Błażej Straszny przeczytał ją na głos, zanim wybiegł.

– Znowu nic pani nie wspominała. – Konieczny spojrzął na mnie z wyrzutem. – To też się wytnie.

– „To już koniec. Przemineło z wiatrem” – zacytowałam z pamięci. – Z nieznanego numeru.

– To daje pole do rozlicznych interpretacji. – Aspirant odwrócił się do kamery. – Inspektor Wąski twierdził zawsze, że morderstwo przeminie z wiatrem, ale metoda odkrycia przestępcy na zawsze pozostanie zapamiętana. On sam z pewnością zapisał się w pamięci wielu morderców, którzy mają teraz całe dziesięciolecia na rozpamiętywanie swych postępów. Powtórzyć?

– Nie, znakomicie się nagrało – ucieszyła się Szrama.

– Inspektor Wąski zastanowiłby się przede wszystkim, z czym kojarzą się słowa „przemineło z wiatrem” – myślał głośno Konieczny. – Chyba że pan Straszny wyjaśnił to pani? – Szybko spojrzął na mnie.

– Niestety.

– Mnie kojarzą się z gorsetem – mruknął Władek. – Kiedyś mieliśmy iść na wesele do kuzyna i małżonka zauważyła, że garnitur mi się skurczył. Choć imputowała, że to ja się rozszerzyłem. Wtedy postanowiła, że kupi mi gorset męski, bo to taniej wychodzi niż nowy garnitur, i mnie dopięła. Ale przez całe wesele nie mogłem nic jeść, żeby gorset nie puścił. Zupełnie jak ta biedna dziewczyna na filmie.

– I dlatego Straszny wybiegł? – Konieczny spojrzał na niego zdezorientowany.

– Nie, w gorsecie nie da się biegać, tylko można wolno chodzić, takim kolebiącym się krokiem – wyjaśnił Władek. – Jak szedłem, to dzieci kuzynów uciekały i krzyczały, że zombie nadchodzi.

– To nas nie przybliży do rozwiązania zagadki. – Aspirant chrząknął. – Niemniej mam teorię. Inspektor Wąski zawsze mawia: „Użyj przeciw przestępcy jego własnej broni”.

– Znaczy żeby wepchnąć go do bagna? – zainteresował się Władek.

– Podsuniemy mordercy jego słowa i zaobserwujemy reakcję – wyjaśnił Konieczny. – Otóż człowiek uczciwy, kiedy to usłyszy, co najwyżej wzruszy ramionami albo będzie miał luźne skojarzenia. Natomiast morderca z całą pewnością nie tylko uda, że nie zna tych słów, ale na dodatek zacznie marginalizować ich znaczenie i odciągać naszą uwagę w inną stronę. A wtedy go mamy. W ten właśnie sposób inspektor Wąski schwytał mordercę z Ustrzyk, który zostawiał na miejscu zbrodni enigmatyczne nazwiska i napisy. Cóż bowiem może łączyć takie słowa jak Moon, Bonham i Baker...

– Byli słynnymi bębniarzami – wpadłam mu w słowo.

Konieczny przełknął ślinę i spojrzał na mnie spod oka.

– No tak – bąknął. – Polska policja też to ustaliła.

– Po trzech latach, bo chłopaki z Ustrzyk myślały, że to dzieciaki coś tam mazały sprejem na ścianach i te nazwiska nie mają wartości dowodowej – westchnął Władek.

– Zostali przeniesieni do departamentu środków trwałych – mruknął Konieczny. – Tak czy inaczej, kiedy do Ustrzyk przyjechał inspektor Wąski, śledztwo ruszyło z kopyta i udało się ustalić, że sprawcą był muzyk, który eliminował konkurentów do miejscowego zespołu rockowego na stanowisko perkusisty. Niestety zdołał wyeliminować wszystkich czterech. W Ustrzykach nie było już innych kandydatów.

– To przykre – stwierdziłam.

– Na szczęście inspektor Wąski odkrył, że chodzi o perkusistów, i wsadził mordercę. Bębniarz z Ustrzyk to klasyczna sprawa inspektora Wąskiego i jednocześnie wskazówka dla policjantów, że nie powinni odrzucać materiału dowodowego, nawet jeśli wygląda na zapisany w innym języku i sprejem. Dzięki Bogu inspektor Wąski biegle posługuje się angielskim i również wygłasza w nim referaty. Mogę przeczytać tytuły na użytek widzów zagranicznych?

– To później. – Jagoda Szrama uśmiechnęła się.

– Tak. – Konieczny skinął głową. – A teraz zobaczy pani, pani Lucjo, jak rzucę każdemu z przesłuchiwanych w twarz tą frazą. Jedna z osób, a będzie to morderca, okaże zakłopotanie.

– Nie mogę się doczekać – zapewniłam.

Rozdział 15

Niektórzy ludzie noszą w sobie pewność, choć rzeczywistość tego nie potwierdza. Dajmy na to, Krzysztof Kolumb. Był pewny, że dopłynie do jakiegoś lądu, i rzeczywiście dopłynął. Choć nie były to Indie.

Podobną pewność przejawiał Konieczny. Wyłożył mi, że z oczywistych powodów najbardziej prawdopodobnym kandydatem na mordercę jest redaktor Pogrobny, który nie tylko musi znać *Przeminęło z wiatrem*, ale też wszystkie książki Błażeja Straszego. A więc także słynną scenę z bestsellera *Wesele upiornego diabła*, w której dyrektor Krasiński wyprawia się przez bagna, żeby zdobyć cenny manuskrypt ukryty w małej chatce. Niestety sprytny upiór przestawia tyczki i dyrektor ginie we mgle, wciągnięty przez bagno.

– Morderca niewątpliwie nie zdaje sobie sprawy, że polska policja czyta książki – tłumaczył mi Konieczny, bardzo zadowolony z siebie. Wyprosił wszystkich z chaty i urządził w niej pokój przesłuchań. Na pierwszy ogień kazał wezwać redaktora. Najwyraźniej uważał, że Indie (to znaczy rozwiązanie zagadki morderstwa) są o rzut kamieniem. Władek poszedł po redaktora, a Konieczny zmarszczył brwi i spojrzął na Jagodę Szramę, która stała z kamerą przy oknie i uśmiechnęła się szeroko.

– A pani w jakim celu tu jest? – zapytał.

– Potrzebuję tego ujęcia – wyjaśniła reżyserka. – Inspektor prowadzący śledztwo zaczyna pierwsze przesłuchanie.

– Wykluczone, przecież pani też jest podejrzana – zirytował się Konieczny.

– Oczywiście, to doda mnóstwo dramaturgii – zachwyciła się Szrama. – Widzowie do końca będą sobie zadawać pytania: czy autorka filmu nie była jednocześnie morderczynią?

– Ja oszaleję – sapnęła policjant. – Nie ma mowy, żeby była tu pani w trakcie przesłuchania.

– Przecież się umawialiśmy – przypomniała reżyserka.

– Może mogłaby pani zostawić włączoną kamerę i wyjść? To też dodałoby dramaturgii – zasugerowałam.

– Ach, znakomity pomysł – uznała Szrama. Ustawiła, co trzeba, i wyszła. W drzwiach minęła się z Pogrobnym.

– Ma pan jakieś podejrzenia? Kto zabił, kto miał w tym interes? – zaczął redaktor, gdy tylko znalazł się przed Koniecznym.

Ten westchnął ciężko i zerknął na sufit. Konstrukcja była wybrzuszona i bliska zawalenia. Być może aspirant zastanawiał się, czy nie nastąpi to jeszcze podczas śledztwa.

– To nie pan zadaje pytania, tylko ja – upomniał Pogrobny. – Wam, redaktorom, wydaje się, że mordercy są niezwykle sprytni. Zabijają wymyślnymi truciznami lub kierują się niezwykle kluczem, wybierając ofiary, i trzeba ten klucz poznać, żeby ich schwytać.

– Rzeczywiście, jestem fanem skomplikowanych rozwiązań i kluczy prowadzących do winnego – potwierdził Pogrobny. – Te wszystkie tajemnicze ciągi liczb, zagadkowe urwane zdania... Czytelnicy to uwielbiają.

– No właśnie. – Konieczny pokiwał głową. – Tymczasem prawdziwa zbrodnia to lupnięcie kogoś nogą od krzesła albo kijem bejsbolowym. Proszę sobie wyobrazić, ostatnio mieliśmy taki przypadek. Rysiek i Czesiek siedzieli na działkach, pili alkohol i jedli kaszanke. Nagle jednak kaszanki zabrakło. Może któryś ją zeżarł? Albo było jej mniej, niż sądzili? W każdym razie doszło do bójki. Rysiek walnął Czeška w głowę, Czesiek padł, Rysiek dojadł kaszanke i zasnął. Policja zastała go śpiącego na miejscu zbrodni, z metalową rurką w ręce. To jest polska zbrodnia, a nie jakieś tam tajemne ciągi liczb!

Drzwi otworzyły się i do wnętrza chatki zajrzała Anna Potworowska.

– Jagoda kazała mi powiedzieć, że muszę panom zrobić lekki makijaż – wyjaśniła i poszła do Koniecznego z pędzłami i fluidami.

– Tu się prowadzi śledztwo – oświadczył twardo aspirant.

– A ja chętnie – ucieszył się Pogrobny. – Na wizji bardzo się świecę. Zwłaszcza nos.

Policjant jęknął cicho, natomiast Potworowska szybko i profesjonalnie zmatowiła redaktorowi twarz.

– Chodzi o efekt naturalności – tłumaczyła Koniecznemu, jednocześnie sprawnie machając pędzlem. – Nie ma pan pojęcia, ile czasu zajmuje naturalny wygląd. Przejadę tylko pana pędzelkiem.

– Nie ma mowy!

– Pani Aniu, mogłaby mi pani poprawić oko? – usłyszałam głos Władka, który zajrzał do chatki przez otwarte okno. – Chyba mi się rozmazało.

– Zaraz do pana idę. – Potworowska uśmiechnęła się.

– Proszę natychmiast zmyć makijaż mojemu podkomendnemu – zażądał od niej Konieczny. – Polska policja nie może zajmować się makijażami, musi łapać przestępców. Jeszcze by tylko tego brakowało, żeby nas podatnicy oskarżyli o marnotrawstwo czasu!

Władek za oknem wyraźnie posmutniał.

– Już uciekam. – Potworowska mrugnęła, przejechała jeszcze raz pędzlem Pogrobnemu po nosie i zniknęła za drzwiami.

– Opowiadał pan o polskich przestępstwach – wrócił do wątku redaktor. – Niestety taka zbrodnia kaszankowa w ogóle nie sprawdziłaby się w książce lub filmie. Nie mówiąc o tym, że kaszanka jako motyw jest całkowicie nieprzekonująca. Morderca może eliminować ludzi, których nazwisko zaczyna się na G. Albo takich, którzy urodzili się w znaku Panny. Ale nie może zabijać, bo kaszanka się skończyła.

– Rzeczywiście. Bardziej przekonujący motyw to kłopoty, na które autor naraża wydawnictwo. A szczególnie pana! – Konieczny wycelował palec w Pogrobnego.

– Miałbym zabić kurę znoszącą złote jajka?! – oburzył się redaktor.

– Czasem tak bywa – wtrącił Władek zza okna. – Działio miał kurę medalistkę, niosła się wspaniale. Jajka znosiła z podwójnym żółtkiem. Ale jakoś inne kury jej nie lubiły. Strasznie się szarogęsiła, w kurniku wciąż było poruszenie i gdakanie. W końcu dziadzio wziął siekiere i łeb jej uciął. I zaraz zrobił się spokój.

– Ja tych tyczek nie przestawiłem – zirytował się Pogrobny. – Jakbym miał zabijać za to, że autor się szarogęsi, to zostałbym seryjnym mordercą. Każdy pisarz się szarogęsi, panie aspirancie. Zwłaszcza bardzo znany.

– A spodobał się panu sposób uśmiercenia dyrektora Krasińskiego? – wtrąciłam.

Przysłuchiwany zmarszczył brwi.

– Nie mam pojęcia, kto to jest.

– Postać z książki pana Błażeja Straszego. Jego największego bestsellera. Pan go wydał.

– Ależ ja jestem redaktorem naczelnym wydawnictwa. Myślą państwo, że ja to czytam? Od tego mam ludzi, którzy szykują mi recenzje wewnętrzne. Pierwsze słyszę o jakimś dyrektorzem Krasińskim. Co się z nim stało?

– Nic, zupełnie nic – odparł z lisią miną Konieczny. – Przeminał z wiatrem.

– Że co? – Pogrobny spojrzał zdumionym wzrokiem.

– Też nic – westchnął aspirant. – Z czym się to panu kojarzy?

– *Przeminało z wiatrem?* Z trzema reżyserami. Wie pan, że Victor Fleming nakręcił ledwie połowę filmu? Wcześniej był George Cukor, a potem Sam Wood.

– Któryś terminował życie? – zainteresował się Władek.

– Słucham? Nie, po prostu się pokłócili i producent ich pozwałniał. W pewnym sensie przeminęli z wiatrem.

– No tak. – Konieczny się zasepił. – Dziękujemy.

– A nie chce pan wiedzieć, co robiłem przed śmiercią pana Straszego? – zdziwił się redaktor.

– Czekam, aż sam mi pan to powie – chrząknął policjant.

– Poszedłem za potrzebą – wyjaśnił Pogrobny. – Po drodze widziałem Anię Potworowską, jak oglądała jakieś rośliny na skraju bagna. Może ta informacja panu pomoże.

Gdy pierwszy podejrzany wyszedł z chatki, Konieczny spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Pani Lucjo, zaczynam się zastanawiać, czy gorące kamienie nie są kuszącą alternatywą.

Rozdział 16

Marcelina nie wyglądała na osobę, która straciła towarzysza życia. Prezentowała się znakomicie: promiennie i kwitnąco, w czym zapewne była duża zasługa charakteryzatorki.

– Błazej z pewnością pragnąłby, żebym dokończyła ten film – powiedziała, gdy tylko usiadła na jedynym wolnym (chyboczącym się) krzeselku. – To będzie hołd jego pamięci.

– Oczywiście – stwierdził Konieczny. – Nie chciałby, żeby film przeminął z wiatrem.

– Och, ekranizacja to było jego marzenie – westchnęła Marcelina. – Uwielbiał straszyc ludzi. Na przykład raz otworzyłam szufladę i znalazłam tam tarantulę.

– Prawdziwą? – przeraził się Władek.

– W pewnym sensie – wytłumaczyła aktorka. – Potem się okazało, że ta akurat nie była jadowita. Kupił ją za duże pieniądze. Chciał sprawdzić, czy się przestraszę.

– I przestraszyła się pani? – indagował Konieczny.

– Kiedy sięgnęłam po majtki i coś włochatego weszło mi na rękę? Pan by się nie przestraszył?

– Ja tak. – Władek pokiwał głową. – Kiedyś zasnąłem w lesie i nagle czuję, że coś włochatego dotyka mojej ręki.

– Tarantula? – domyślała się Marcelina.

– Nie, dzik. Obwąchiwał mnie – sprostował Władek. – Ale dziadek kiedyś powiedział, że dzik pijanego nie ruszy.

– Chyba nie byłeś pod wpływem? – Konieczny spojrzał na podwładnego spod oka i ten wyraźnie się spłoszył.

– Oczywiście, że nie, ale nawet dzik może się pomylić – wyjaśnił z godnością. – Co się stało z tarantulą?

– Niestety miała wypadek. Zginęła przygnieciona żelazkiem. – Marcelina zrobiła smutną minę. – Błazej był niepocieszony. Ale przeżył jeszcze większy zawód, kiedy raz wyskoczył na mnie w stroju indiańskim jako duch Pradawnej Strzały. Musieliśmy potem jechać na pogotowie, żeby zszyli mu łuk brwiowy. Zareagowałam instynktownie, za pomocą patelni.

– Często zdarzało się pani tak... reagować? – zapytał Konieczny.

– Błazej wielokrotnie mnie zaskakiwał – przyznała Marcelina. – Twierdził, że jeżeli ja się przestraszę, to statystyczny czytelnik również.

– I co, sprawdzało się?

– Nie mam pojęcia. Nie czytałam jego książek. – Dziewczyna wzruszyła ramionami. – Nie lubię horrorów.

– Właśnie pani w jednym gra – zwrócił uwagę Konieczny.

– Traktuję to jako studium kobiety uwikłanej w pułapkę własnego losu. – Marcelina uniosła wysoko podbródek.

– Jednak tę kobietę ściga upiór owinięty w bandażę – mruknął aspirant.

– Można go uznać za personifikację ludzkiego losu – odparła dziewczyna. – A co do Błazeja, to on chyba sam za bardzo nie lubił swoich książek. Potwornie się bał tych wszystkich upiórów, które opisywał. Naprawdę w nie wierzył.

– Wiadomo, jak upiór wciągnie, to nie ma siły. – Władek pokiwał głową. – Ale skoro się tak bał, to po co w bagno polaził?

Marcelina wzruszyła ramionami.

Za to Konieczny wzniosł oczy do nieba, wziął głęboki wdech i zadał dziewczynie kolejne pytanie:

- Czyli nic pani nie mówi nazwisko „doktor Krasieński”?
- Znałam kiedyś takiego pediatrę. – Marcelina się zamyśliła. – Ale to było dwadzieścia pięć lat temu. Mogę już iść?
- Proszę jeszcze powiedzieć, co pani robiła przed śmiercią Błażeja Straszego.
- Wyszłam na spacer, sama. – Aktorka zmarszczyła brwi. – Widziałam gdzieś w oddali Kubę Bliznę. Ale poza tym nic podejrzanego. Nikogo, kto by przestawiał tyczki.
- Dziękuję – burknął Konieczny, a kiedy za Marceliną zamknęły się drzwi, pokręcił głową. – W sumie ciepłe okłady z błota to też brzmi nieźle – westchnął z rozmarzeniem.

Rozdział 17

Jakub Blizna był człowiekiem, który wciąż poprawiałby rzeczywistość. Właściwie to nic niezwykłego, w końcu był scenarzystą.

– Na pana miejscu stałbym nad podejrzanym – powiedział, lustrując wnętrze chatki. – Żeby go trochę zbić z tropu.

– To pan jest teraz podejrzanym – przypomniał mu Konieczny.

– No to powinien pan stać nade mną – zgodził się scenarzysta.

– Wszyscy przemina z wiatrem – rzucił w przestrzeń aspirant.

– Czuję, że to kluczowa kwestia w tej historii. – Mężczyzna zatarł ręce. – Ale w takim razie powinna paść na koniec, żeby spotęgować napięcie i rzucić cień podejrzenia na przesłuchiwanego.

– Czyli pana.

– W tym momencie tak – przyznał Blizna. – Może zaczniemy jeszcze raz? Wejdę, przedstawię się, potem pan powie kilka zdań, a pan – wskazał na Władka – spróbuje jakoś przycisnąć podejrzanego albo mu zagrozić.

– Ale to nadal pan nim jest – zauważył lekko zdziwiony Konieczny.

Przesłuchiwany wstał, podszedł do drzwi i udał, że ponownie przez nie wchodzi.

– Jakub Blizna, scenarzysta. Przez długi czas pozostający w konflikcie z autorem książki, na której oparty jest scenariusz. Autor, Błażej Straszny, nie aprobował sposobu, w jaki jego powieść była adaptowana na potrzeby scenariusza. Dochodziło na tym tle do kłótni, a nawet awantur. W jednej z nich Jakub Blizna zagroził, że pozbędzie się Błażeja Straszego. Już kilka dni później znany pisarz nie żył.

Blizna zamilkł i spojrzał na nas spod oka.

– Dobrze, prawda?

– Nadal mówi pan o sobie – zdumiał się Konieczny.

– Oczywiście. Przedstawiam siebie, ale jednocześnie archetyp scenarzysty pograżonego w odwiecznym konflikcie z pisarzem – przytaknął podejrzanym.

– Obywatel groził denatowi. – Władek zmarszczył brwi. – Podpada to pod groźbę karną. Będą nieprzyjemności.

– Na pana miejscu przycisnąłbym mocniej – uznał Blizna. – Co pan sądzi o następującej kwestii: „Dobrze wiemy, śmieciu, co ci w duszy grało, ale nie z nami te numery. Gadaj albo będą cię zeskrobywać ze ściany w areszcie. Wiesz, co tam robią z takimi jak ty?”

– Tu nadal chodzi o pana – wyjąkał Konieczny. – Poza tym polska policja nie posługuje się takimi metodami i nie zamierza nikogo z niczego zeskrobywać.

– A amerykańska zeskrobuje i ma sukcesy – zwrócił mu uwagę Blizna. – No, ale to już jak panowie chcą. Ja tylko piszę scenariusze, a panowie je wykorzystają wedle uznania.

– Wiemy, z czym ci się kojarzy „przeminięło z wiatrem” – mruknął Konieczny.

– Dobrze! – ucieszył się Blizna. – Chwileczkę, to ja zareaguję adekwatnie.

Skulił się na krzeselku i spojrzał z przestraszeniem na aspiranta.

– Słowo honoru, wiem, że nie powinienem, ale ten biust Vivien Leigh. Przez moment wiadać, jak odbija się w lustrze.

– Podglądać kobiety się zachciało! – oburzył się Władek. – Jest na to paragraf.

– Miałem osiem lat, jak to oglądałem. – Scenarzysta jeszcze bardziej się skulił.

– I od tej pory wciąż podglądasz! – huknął podkomendny. – Marcelinę też podglądałeś? Złapał cię na tym denat? Wiemy, jak było.

– Raz widziałem, jak biegła przez las w całkiem mokrym podkoszulku. – Blizna prawie lkała.

– I wtedy pomyślałeś, że przesuniesz te tyczki, co? – wpadł mu w słowo Władek.

– Zbyt intensywne przyciśnięcie podejrzanego – skrzywił się Blizna. – Jeszcze przez pół minuty warto było zagrać dobrym policjantem. A dopiero potem wchodzi zły.

– To wszystko nadal dotyczy pana – chrząknął Konieczny. – Może pan tak po ludzku powiedzieć, co pan robił tuż przed śmiercią pana Straszego?

– Spacerowałem. – Scenarzysta wzruszył ramionami. – Gdzieś tam w oddali widziałem burmistrza. Też spacerował. Nuda.

– I zapewne nic panu nie mówi nazwisko „doktor Krasiński”. – Aspirant próbował go podpuścić.

– Dałbym jakieś inne nazwisko. – Blizna nie krył zdegustowania. – Polskie nazwiska kończące się na „-ski” nie najlepiej brzmią we współczesnych filmach. Są okropnie staroświeckie.

– Nazwisko pochodzi z książki pana Straszego – podsunął mu Konieczny. – Jego największego bestsellera.

– Nie czytałem – przyznał scenarzysta. – Nie chciałem się sugerować rozwiązaniami fabularnymi. Mówiąc szczerze, Straszny w złych momentach rozkładał akcenty dramatyczne. I, jak pan widzi, miał staroświecki gust.

– Doktor Krasiński z powieści zginął, bo ktoś przestawił tyczki na bagnach – poinformował go aspirant. – Spotkało go to samo, co pana Straszego.

– Poważnie? Genialny pomysł do filmu! – rozpromienił się Blizna. – Scenarzysta skonfliktowany z autorem odgrywa się na nim, zapożyczając scenę z książki i zabijając go w sposób, który pisarz sam opisał.

– To nadal o panu – jęknął Konieczny i ukrył twarz w dłoniach.

Rozdział 18

– Oni powariowali, pani Lucjo. – Aspirant, załamany, chodził w tę i z powrotem po izbie. Uderzył dłonią w ścianę i odskoczył, kiedy kawał tynku oderwał się i runął na klepisko. – Nie pojmują chyba, że to poważna sprawa. Ten scenarzysta przyznałby się, że zbombardował Drezno, gdyby mu to pasowało do akcji. A ta cała Marcelina? Martwi się, że ją sfilmują ze złej strony.

– Pani Marcelina martwi się też katastrofą klimatyczną – przypomniałam. – Przynajmniej jak wynika z jej mediów społecznościowych.

– Oni są rąbnięci, pani Lucjo. Inspektor Wąski...

– ...by ich zamknął – dokończyłam. Nie mogłam się powstrzymać.

– Skąd pani wie? – Konieczny spojrział na mnie podejrzliwie.

– Kobieca intuicja – wyjaśniłam.

– O, ten cały Czachowski znowu tu idzie. – Aspirant wskazał postać zdążającą w stronę chatki.

– Wszystko załatwione. – Czacha zatarł ręce i uśmiechając się szeroko, przestąpił próg. – Inspektor Wąski będzie zachwycony. Mundury po prostu się błyszczą. Ściągnąłem chłopaków w trybie pilnym, żeby je wyprali. Nie było łatwo, bo dwa radiowozy pojechały do Zimnych Dołów, to dziesięć kilometrów stąd. Odkąd córka starego Zdzicha Kopleta w tajemnicy zaczęła się spotykać z synem Czeska Monteka, mamy interwencję za interwencją. Ten Czesiek nienawidzi Zdzicha i myśli, że specjalnie podpuścił córkę. No i mamy ustawkę za ustawką.

– I jak to się skończyło? – zainteresował się Konieczny.

– Nie wiem. – Czacha wzruszył ramionami. – Chłopaki nie będą tam przecież stali cały dzień w brudnych mundurach, kiedy przyjeżdża inspektor Wąski.

– Niestety mundury to nie wszystko – rzucił aspirant grobowym tonem. – Inspektor Wąski wyznaje zasadę, że policjanci i interesanci mają mieć zapewnione ludzkie warunki pracy. Mają?

– A co mają nie mieć? – zachnął się komendant. – Są krzesła, nawet stolik.

– Inspektor Wąski sprawdza raczej, czy na komendzie znajduje się kącik dla dzieci, gdzie małe dzieci mogą zająć się kolorowanymi, podczas gdy rodzice składają zeznania. Jest?

– Kącik? – Czachowski wyraźnie zbladł. – Kącik jest, a co ma nie być.

– Małe stoliczki i krzeselka, pluszaki, kredki – wyliczał bezlitośnie Konieczny.

Czacha wyciągnął chustkę i otarł pot z czoła.

– Będą.

– A kawa? Inspektor Wąski uważa, że na każdym posterunku powinna być możliwość zrobienia kawy i poczęstowania interesantów. Jakiej marki macie ekspres?

– Jest taka służbowa puszka, a kawa to normalnie. Zalewa się wrzątkiem – sapnął Czachowski.

– Niedobrze. – Konieczny smutno pokiwał głową. – Przynajmniej toalety są w dobrym stanie? Firaneczki w oknach? Mydełko w płynie? Ręczniczki? Miękki papier toaletowy?

– No skąd. Wszystko ginęło, więc teraz mamy klucz do toalety na takim półmetrowym metalowym pręcie, żeby się nie dało wsadzić do kieszeni. Bo klucz też raz zginął. Myślałem, że ukradli, ale potem się okazało, że jeden z podkomendnych włożył do kieszeni i wyjechał na urlop. Na szczęście właśnie zgarnęliśmy Romka, to taki miejscowy złodziej. Na gorącym uczynku go zwinęliśmy, akurat włamywał się do monopolowego. To nam po

uprzejmości otworzył tę toaletę w dziesięć sekund, a my go pouczyliśmy i puściliśmy do domu.

– U nas na komendzie też mieliśmy taki klucz na kiju i raz go Wacek z prewencji zabrał – przypomniał sobie Władek. – Wcześniej to normalnie na podwórku dawało się sikać, ale odkąd deweloper postawił blok dwa metry obok, to nie wypada – westchnął. – Okna wszystkich kuchni tego bloku wychodzą na podwórko, matki dzieciom obiad robią i jakoś tak nieelegancko.

– I co zrobiliście? – zaciekawił się Czachowski.

– Komendant powiedział, że on to otworzy wytrychem skonfiskowanym w czasie czynności operacyjnych, ale mu się złamał. A ślusarz był cały tydzień chory. No więc rozłożyliśmy na podwórku namiot operacyjny do badania przyczyn wypadków drogowych, który zabezpieczył nas przed spojrzzeniami matek gotujących.

– Sprytne – wyraził uznanie Czacha, ale szybko przypomniał sobie o własnych kłopotach. – Skąd ja teraz wezmę mebelki dla dzieci do tego kącika?

– W przedszkolu pewnie mają. Można skonfiskować na dwadzieścia cztery godziny, celem zbadania śladów operacyjnych – podsunął Władek.

– A ekspres wezmę od szwagra – odetchnął Czachowski. – Muszę lecieć.

– Czytał pan kiedyś coś Straszego? – zapytałam znienacka, kiedy już odwracał się do wyjścia.

– Nie, nie lubię strasznych historii – skrzywił się. – Kawa, kącik, toaleta?

– Tak – potwierdził Konieczny. – A ta kawa to jakaś dobra. Inspektor Wąski twierdzi, że tylko zbrodniczy umysł może pić taną kawę.

– Taką za dziesięć złotych? – zapytał ostrożnie Czachowski.

– W Lęborku poczęstowali go taką. – Aspirant pokiwał głową. – Komendant do dziś pracuje w wydziale leśnictwa.

Rozdział 19

– Ten cały Trupik jest dla mnie bardzo podejrzany – mówił Konieczny, maszerując po ciastym pomieszczeniu od ściany do ściany. – Miał interes ekonomiczny w usmierceniu Straszego. Zapłacił grube pieniądze, żeby pokazać w filmie uroki miasta, a Straszny odrzucił wszystkie jego pomysły.

– I nazwisko źle o nim świadczy – zawyrokował Władek. – Czy człowiek niewinny mógłby tak się nazywać? U nas na wiosce kiedyś zamordowali bogatą wdowę. Było jej chyba Malicka. Chłopaki od razu wytypowali, że terminował ją niejaki Rębacz. I faktycznie rąbnął ją tak, że już nie wstała.

– Wezwijmy tego Trupika – westchnął aspirant. Zmarszczył brwi i przyjrzał się czemuś za oknem. – Ktoś przyjechał.

– I to niejeden ktoś – dodał Władek.

– Ekipa śledcza?

– Melduję, panie aspirancie, że skądże znowu. Oni jadą z Katowic, najwcześniej będą za godzinę.

Konieczny otworzył drzwi i osłupiał. Nawet mnie samą lekko zdziwiły sceny rozgrywane przed chatką, chociaż w swojej pracy niejedno już widziałam.

Kilku mężczyzn w odblaskowych kombinezonach włączyło kosi spalinowe i oczyszczało teren wokół. Inni nosili jakiś sprzęt, na oko niewiadomego przeznaczenia. Dochodzący z prowizorycznego parkingu hałas wydawały dwie małe koparki, zażarcie wgrzyżające się w grunt.

– Co tu się dzieje?! – wrzasnęła Konieczny. Podbiegł do najbliższego mężczyzny z kosą i szarpnął go za ramię. – Natychmiast przestać! Tu się prowadzi śledztwo!

– Polecenie burmistrza – wyjaśnił flegmatycznie robotnik i znowu włączył urządzenie.

Dwóch facetów przeszło aspirantowi przed nosem, dźwigając kilka długich desek.

– A ci czego chcą?

– Zdaje się, że zamierzają zbudować niewielki, ale gustowny taras widokowy – wyjaśniłam.

– A co zamierzają z niego podziwiać? – zdumiał się aspirant.

– Oprócz zachodów słońca i przelatujących ptaków? Zapewne scenerię miejsca zbrodni oraz scenografię ostatniej sceny kultowego horroru – zgadywałam. – I nie oni, tylko wszyscy turyści, którzy niedługo tutaj zjadą.

– Jacy turyści? – przeraził się Konieczny. – I jaki kultowy horror? Przecież oni ciągle się kłócą, że nawet nie został skończony.

– W tę stronę mają być ukierunkowane działania marketingowe – poinformowałam go. – Śmierć, która przerwała męki twórcze wielkiego mistrza.

– Skąd pani to wie? – jęknął aspirant.

– Przydaje się dobry słuch i umiejętność łączenia faktów.

– Zupełnie jak w pracy policyjnej – stwierdził Konieczny. – To samo powtarza inspektor Wąski. A ci co robią? – wymamrotał, wskazując na kolejnych robotników, którzy wznosili stelaż z metalowych rurek.

– Jak się zdaje, montują billboard – oznajmiłam. – Burmistrz Trupik jest przekonany, że to miejsce będzie finansowym zbawieniem dla miasta.

– Zadzwoń do Czachowskiego i ściągnę policję, żeby obstawiła teren – zirytował się Konieczny. – To jest miejsce zbrodni, a nie deptak pod ratuszem.

– Wspaniały pomysł. Tylko wszystkie załogi radiowozów poszukują teraz ekspresu do kawy.

– No tak – westchnął aspirant. – Gdzie ten Trupik?

– Mignął mi na tyłach chatki, obok szopy. Mierzył nowy garnitur i dobierał krawat.

– Pani żartuje. – Konieczny łypnął na mnie. – Morderstwo, denat, inspektor Wąski w drodze, a ten dobiera krawat?

– Pewnie chce dobrze wypaść w tym dokumencie – zauważyłam.

Policjant ruszył w stronę szopy, gdzie, zgodnie z moimi przypuszczeniami, znalazł burmistrza. Trupik siedział na krześle, które bez wątplenia nie pochodziło z chaty, bo było nowe, polakierowane na błyszcząco i wyściełane niebieskim pluszowym materiałem. Najwyraźniej zostało przywiezione przez asystentki. Jedna z nich załatwiła również lustro, a druga wiązała burmistrzowi krawat w niebieskie romby. Trupik przyglądał się sobie krytycznie.

– Pani Lucjo, dobrze, że pani jest! – ucieszył się na mój widok. – Chciałem założyć krawat w kości, rozumie pani, Kościany Zdrój. Ale potem pomyślałem, że może będą się źle kojarzyć. Z kolei paski są za mało charakterystyczne. Romby też jakoś do mnie nie przemawiają.

– Sugerowałabym słoneczka – poradziłam, przebiegając wzrokiem naręcze krawatów w dłoniach asystentki. – Są dyskretne i jest w nich nadzieja oraz optymizm.

– Wiedziałem, że mogę na panią liczyć – odetchnął Trupik.

– Proszę natychmiast zatrzymać ten cyrk! – Konieczny przerwał moje porady modowe. – To miejsce morderstwa, ci ludzie nie mogą się tu kręcić i czegoś budować.

– Ależ nawet nie zbliżyć się do pana denata. To znaczy pana Straszego – zbagatelizował jego obawy Trupik.

– Policja absolutnie nie zgadza się na takie działania. – Aspirant zrobił się purpurowy na twarzy.

– Zadzwoń do Czachy i się zgodził – oznajmił radośnie burmistrz. – Powiedział, że bym robił, na co mam ochotę. Nie wiem tylko, o co chodzi z tą kawą, ale pozwoliłem mu wypożyczyć ekspres z urzędu miasta, bo ten szwagra się zepsuł.

Konieczny wziął długi wdech, a potem równie powoli wypuścił powietrze.

– Co pan robił, kiedy wyszedł pan z chaty, przed śmiercią Błażeja Straszego? – zapytał tonem, od którego komuś lepiej znającemu aspiranta powinny przejść ciarki po plecach.

Ale Trupik się nie przejął.

– Poszedłem zadzwonić w sprawach służbowych. Burmistrz, panie aspirancie, ma mnóstwo takich spraw.

– I widział pan kogoś, kiedy pan tak dzwonił? – dopytywał Konieczny.

– A tak, przez moment. Pana redaktora Pogrobnego. Mignął mi na skraju bagna. Ale nie przyglądałem się, co robi. Sam pan rozumie, wymagający urząd. Ten baner bardziej w prawo! W prawo!

Te ostatnie słowa nie były do aspiranta.

– A z czym kojarzy się panu „przemineło z wiatrem”? – Konieczny nie ustawał w wysiłkach.

– O rany, no mówiłem, Józek! – Burmistrz poderwał się z krzesła, zamachał rękami i z powrotem opadł na siedzenie. – Jak to tak zamontujecie, to wiatr wszystko pozrywa. W prawo, dajcie bardziej w prawo, chłopaki.

– Nie przeszkadza panu, że tak tu sobie wieszacie banery, a tam w bagnie leży trup? – spytał ponuro Konieczny.

– A wie pan, panie aspirancie, że w ogóle. – Trupik rozłożył ręce. – Panu przeszkadza, że tam, w bagnisku, leży denat? – Burmistrz zaczepił mężczyznę w kasku i drelichu, który studiował obok jakiś plan.

– Niech sobie leży. – Mężczyzna wzruszył ramionami. – Ja tam muszę dosadzić trochę krzewów, bo lyso jest. Tylko boję się, że już za późno, jesień, mogą się nie przyjąć.

– Najwyżej się potem wymieni – stwierdził Trupik. – Panie Felku! – Zamachał w kierunku kolejnego fachowca. – A panu przeszkadza, że mamy trupa w bagnisku?

– A co ma przeszkadzać? – zaśmiał się pytany. – Spokojne towarzystwo.

– Jakby jakiś znajomy leżał, to mnie by przeszkadzało – uznał jego współpracownik.

– Znajomy to tak – zgodził się ten pierwszy. – A jak nieznajomy, to niech sobie leży.

– Chyba że ma straszny wyraz twarzy – wtrącił Władek, który do tej pory stał z boku zamysłony. – Jak mój wujek, kiedy wyjęli go z silosu. Wpadł po pijaku, to ciocia nawet go nie szukała. Myślała, że jak zwykle wróci po kilku dniach, a on w tym silosie siedział i stukał.

– I nie było słyhać? – zdumiał się Konieczny.

– Było – westchnął Władek. – Ale u nas na wsi wiedzą, że jak słyhać wieczorem stukuki, to lepiej w domu się zamknąć i na podwórze nie wychodzić, bo może być urok albo widziadło leśne.

– Policjant na służbie wierzy w widziadła leśne? – Konieczny zmarszczył brwi.

– Melduję, panie aspirancie, że ani trochę. Ale zawsze lepiej siedzieć w domu, jak stuka – zasępił się podkomendny.

– Pani to filmuje? – Jego szef obrócił się i zobaczył za plecami Jagodę Szramę. Musiała w międzyczasie zabrać kamerę z chatki, bo trzymała ją na ramieniu.

Reżyserka uśmiechnęła się i kiwnęła głową.

– Każde słowo – przyznała radośnie.

– Przecież nie rozmawiamy o mordercy, tylko o przesądach ludowych na Podlasiu, w które, oczywiście, polska policja w najmniejszym stopniu nie wierzy.

– Kto wie, czego będziemy potrzebować – stwierdziła Szrama. – Może wątek podlaski się przyda.

– Na pewno nie! – oburzył się Konieczny. – Pani sfilmuje Władka, jak zaprzecza przesądom. Władek, stawaj tu i mów.

Jagoda Szrama podniosła kamerę, a spłoszony podkomendny rozejrzał się dookoła z paniką w oczach.

– Powiedz, że nie wierzysz w przesady i jako policjant kierujesz się wyłącznie dowodami oraz informacjami pozyskanymi od przesłuchiwanym – dopomógł mu Konieczny.

– Jako polski policjant zaprzeczam przesądom i wierzę tylko w dowody i informacje uzyskane od świadków – wyrecytował Władek do kamery.

– Idealnie – ucieszył się jego szef.

– Chciałem też poinformować – kontynuował Władek – że jako dowód znalazłem trzy czarne pióra. To zły omen. Jak przy rowerze starego Baltazara znaleźli trzy czarne pióra, to wszyscy mówili, że Zły go wciągnął do lasu, i ja myślę, że tak było, bo nigdy ciała nie znaleźli, a jakby go normalnie ubili, to w końcu by znaleźli, nie?

– To się wytnie – jęknął Konieczny.

Rozdział 20

– Inspektor Wąski mawia: „Jeśli nie możesz zmienić rzeczywistości, zmień siebie” – westchnął Konieczny.

– I zmienia siebie? – zapytałam.

– Nigdy się nie zdarzyło, żeby nie potrafił zmienić rzeczywistości – mruknął aspirant. – Niemniej gdyby tak się stało, co nie jest możliwe, z pewnością natychmiast tak by postąpił.

– Oczywiście – zgodziłam się.

– Przesłuchamy tę całą reżyserkę – zdecydował policjant.

– Jestem. – Jagoda Szrama po raz kolejny wyrosła jak spod ziemi. – Miałby pan coś przeciwko, żebym usiadła na wprost kamery? Pana, niestety, nie byłoby w tej scenie, słyszalne byłyby tylko pytania, a widoczne emocje na twarzy przesłuchiwanej. Czyli mnie – dodała, na wypadek gdybyśmy nie zrozumieli.

– Chwała Bogu – odetchnął Konieczny.

Reżyserka ustawiła kamerę na statywie i zasiadła przed nią z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Może pan się oczywiście denerwować i krzyczeć, a nawet bluzgać.

– Nie zamierzam – zapewnił aspirant.

– Może pan też wpaść w szał.

– Polska policja nie praktykuje takich metod przesłuchań.

– Albo może pan ciskać przedmiotami, żeby zmiękczyć podejrzaną. To znaczy mnie – zaczęła Jagoda Szrama.

– Nie ma mowy!

– Nawet książką?

– Nie będę niczym ciskał – nadał się Konieczny. – Polska policja nie ciska, tylko naciska. Skutecznie.

– Ale inspektor Wąski cisnął raz wazonem w uciekającego Rzeźnika z Lęborka – zwrócił uwagę Władek.

– Zrobił to w wyższym celu – zachnął się aspirant. – Zresztą niezwykle celnie. Rzeźnik, trafiony w głowę wazonem, padł na miejscu i odzyskał świadomość dopiero w areszcie.

– Mamy tu wazon. – Jagoda Szrama wskazała na mnie więcej półwieczny stary, obłupany wazon, z którego jeszcze wystawała wysuszona łądźka roślinki, włożonej tam w czasach wczesnego Gierka. – Gdyby mógł nim pan malowniczo cisnąć? Tylko wcześniej powiedziałby pan, w którą stronę, żebym zdażyła zarejestrować trajektorię lotu.

– Nie ma mowy – zaprotestował policjant. – Ale skoro wspomniała pani wcześniej o książkach, z czym się pani kojarzy *Przeminęło z wiatrem*...? Co pani robi? – Na jego twarzy odbiło się zdumienie, bo Jagoda Szrama wstała, chwyciła wazon i zrobiła zamach.

– W takim razie ja cisnę – zdecydowała. – Pan, jako policjant, zachowa się spokojnie, za to przesłuchiwana będzie nerwowa i skłonna do przemocy.

– Ale to przecież pani – wyjąkał Konieczny.

– Moje alter ego – sprostowała Szrama. – Jako ja jestem całkiem opanowana i kręcę sceny do dokumentu. Jako podejrzana stanę się wybuchowa i całkiem nieobliczalna. O proszę.

Rzuciła wazonem, który minął Władka o włos i uderzył w ścianę.

Podkomendny aż podskoczył i schował się za drewnianym słupem podpierającym sufit.

– To był zamach na przedstawiciela policji – oburzył się.

– Hm, liczyłam na to, że się rozbije, a został w jednym kawałku. – Jagoda Szrama nie przejęła się miną Władka. – Zrobimy inaczej. Cisnę o kuchnię, na pewno się rozprysnie. A pan niech sobie poprawi makijaż.

Podkomendny potulnie wyszedł poszukać charakteryzatorki. Aspirant spojrzął na mnie błędnym wzrokiem.

– Pani Lucjo, ta też jest szurnięta. I w dodatku ma alter ego. Sama pani słyszała – szepnęła mi na ucho.

– Co na ten temat mówi inspektor Wąski? – zadałam mu pytanie.

– Kiedy podejrzana cierpi na rozdwojenie jaźni? – upewnił się Konieczny. – I nalega, żeby jedna jaźń ciskała wazonami, a druga nie?

– Na pewno znalazłby jakieś rozwiązanie – wysunęłam przypuszczenie.

– Z pewnością. – Policjant smętnie zwiesił głowę. – Niestety szkolenie z udziałem inspektora Wąskiego, które bardzo by pomogło w tej sytuacji, ma się odbyć dopiero w przyszłym roku. Już się zapisałem. *Techniki radzenia sobie z podejrzanymi z mnogą osobowością*. Mam jednak pewne przypuszczenia...

Nie zdążył się nimi ze mną podzielić, bo w tym momencie wszedł Władek. Na pierwszy rzut oka wyglądał tak samo jak przed wyjściem, lecz Jagoda Szrama była odmiennego zdania.

– Teraz to zupełnie co innego – rozpromieniła się i nagle rzuciła wazonem, który trafił w starą żeliwną kuchnię na drewno i roztrzaskał się z hukiem.

– Znowu mogła mnie pani zabić – jęknął z wyrzutem Władek.

– Chodziło mi właśnie o ten wyraz zaskoczenia na pana twarzy – wyjaśniła Jagoda Szrama. – Sama się przestraszyłam.

– Przecież kręci pani horrory – zdumiał się Konieczny. – A tak łatwo się pani przestrasza?

– Miałam przerwę od teatru – odparła Szrama. – Długą. Dlatego wzięłam ten horror. Zwykle zajmuję się dramatem egzystencjalnym i brzydzi mnie przemoc.

– Wracając do tematu: *Przeminięło z wiatrem* też panią przeraża? – spróbował jeszcze raz Konieczny.

– Oczywiście – wzdrygnęła się reżyserka.

– Scena pożaru Atlanty?

– A nie. Ta wcale nie jest taka straszna – uśmiechnęła się.

– To może scena, w której Scarlett musi obronić Tarę przed jankeskim żołnierzem?

– Nie, no skąd. Po prostu go zabiła. To jest wpisane w ludzką egzystencję.

– To sam nie wiem. – Konieczny spojrzął na mnie, prosząc o ratunek.

– Jestem pewna, że panią Szramę najbardziej przerażyło, jak Mammy napycha Scarlett szynką, żeby nie jadła na balu – podsunęłam.

– Och, tak, to było potworne! – wykrzyknęła reżyserka. – Jak można tak ludzi faszerować szynką? Jestem weganką!

– Dziadziuś wędził pyszną szyneczkę, a potem mnie karmił. „Chodź, wnusiu, dam ci jeszcze”, mówił – rozmarzył się Władek. – A znowu jak urządził świniobicie, to...

– Proszę przestać. – Szrama pobladała.

– To by było na tyle. W razie czego wezwiemy panią później – zdecydował Konieczny.

– A mógłby pan to powtórzyć groźnym tonem? – zapytała reżyserka.

– Nie ma mowy! – uciął aspirant groźnym tonem.

Rozdział 21

Konieczny spojrział na mnie z rozpaczą.

– Pani Lucjo, inspektor Wąski za godzinę dojedzie na stację w Kościanym Zdroju, a my nadal nie mamy pojęcia, kto utopił Błażeja Straszego w bagnie. Do tego nikt z obecnych nie ma porządnego alibi, więc nie mogę nawet zawęzić grona podejrzanych. W czasie morderstwa ten cały Blizna sikał, Marcelina była ze Szramą i z tym aktorem, który gra upiora, Trupik telefonował, Potworowska pobiegła za Blizną...

– Za Szramą – sprostowałam.

– No sama pani widzi. I jeszcze Potworowskiej mignął upiór... Właśnie! Upiór! Dlaczego go dotąd nie przesłuchaliśmy? Władek, przyprowadź!

Podkomendny wyprężył się służbiście i zniknął za drzwiami. Po chwili wrócił z Hubertem Ciemnickim, którego nazwiska nikt nie potrafił zapamiętać. Upiór wyglądał jeszcze gorzej niż ostatnim razem. Jeśli o upiørze można wyrazić się w ten sposób. Różne części jego kostiumu zwisały i smętnie powiewały na jesiennym wietrze. Kiedy wchodził do chaty, fragment bandaży (a może sztucznej skóry?) odpadł na brudną podłogę.

– Od razu coś sobie wyjaśnijmy. Nie lubię podwójnych osobowości – stwierdził Konieczny.

Na częściach twarzy upiora, które były widoczne zza bandaży, odmalowało się zdumienie.

– Nie życzę sobie, żeby raz pan mówił, że jest upiorem, i ciskał przedmiotami, a potem twierdził, że jest zwykłym człowiekiem – doprecyzował aspirant. – Żadnego ciskania. Czy to jasne?

– Najzupełniej – wystękał upiór.

– Znakomicie. – Konieczny zatarł dłonie. – Pan też się boi horrorów?

– Nie, skądże.

– Rola się panu podobała?

– O tak, zawsze chciałem zagrać czarny charakter. Jak państwo wiedzą, moje aktorskie emploi jest zupełnie inne...

– Nie wiemy – wszedł mu w słowo policjant.

– Kazik z *Kolorów miłości*, Staszek z *Naszej wiosny*, Maciek z *Naszej kochanej rodzinki* – wyliczał upiór. – Musiał pan słyszeć. W tym miesiącu jestem na okładce „Twojego TV”.

– Kim pan był w tych serialach? – Konieczny nie zrozumiał.

– Nie wie pan? – Upiór szczerze się zdumiał. – Wesołym przystojnym narzeczonym.

– A w innych? – ciągnął aspirant.

– Też wesołym przystojnym narzeczonym – uściślił Ciemnicki. – Tak się poznałem z Marceliną. Ona była moją serialową narzeczoną.

– We wszystkich tych produkcjach? – zdziwił się Konieczny.

Upiór skinął głową.

– Raz była córką lodowego potentata, kiedy indziej bogatego adwokata, a w końcu zamoznego polityka. A ja w każdym serialu byłem wesołym narzeczonym, który odbija ją poprzedniemu narzeczonemu. Też bogatemu, ale nie tak wesołemu. Raz odbijałem jako adwokat, potem jako aspirujący pisarz i wreszcie jako spekulant giełdowy. Można oszaleć, taki byłem wesoły. Próbował pan być wesoły cały dzień?

– Nigdy – warknął Konieczny.

– To widać – westchnął upiór. – Więc przyjąłem tę rolę, bo miałem nadzieję, że jako upiór nie będę wesoły. Natura upiórów zdecydowanie nie ma nic wspólnego z wesołością. Niestety nie przewidziałem, że będę musiał grać w masce. Chciałem pokazać emocje odbijające się na twarzy upiora. Ale kiedy gra się w masce, to trudne.

– Zapewne – zgodził się Konieczny. – Pan Błażej Straszny nalegał na maskę?

– Tak. Uważał, że moja prawdziwa twarz jest zbyt wesoła i przystojna, więc nie byłbym wiarygodnym upiorem. A tymczasem proszę spojrzeć.

Upiór zerwał bandaż z twarzy i postąpił kilka kroków w stronę Władka, wykrzywiając się strasznie. Podkomendny cofnął się i chwycił za kij stojący przy kuchni.

– Ani kroku dalej! – zagroził.

– Widzi pan, potrafię być naprawdę przekonujący. – Upiór uśmiechnął się wesoło.

– To nie jest przedmiotem dochodzenia – burknął Konieczny.

– W kilku scenach poluzowałem maskę. Rozumie pan, ludzka twarz upiora. Z pewnością pan też by tak postąpił.

– To również nie jest przedmiotem dochodzenia – chrząknął aspirant. – Zgubił pan kawałek ręki.

– A, tak – spostrzegł się upiór. – Często odpadają mi części ciała. Te upiorne, oczywiście. I fragmenty kostiumu. Mam nadzieję, że zanim skończymy, odpadną wszystkie i będę mógł zagrać naturalnymi walorami aktorskimi. Jak pan sądzi?

– To również nie jest przedmiotem dochodzenia – przypomniał policjant. – Z czym się panu kojarzy *Przeminęło z wiatrem*?

– Z Clarkiem Gable'em – zamyślił się upiór. – Rodzice powtarzali mi od małego, że byłbym lepszym Rhettem Butlerem niż on. Jestem tego samego zdania. Tysiąc razy lepiej zagrałbym sceny miłosne. A gdyby zamiast tego beztalencia Vivien Leigh partnerowała mi Marcelinka, przeszlibyśmy do historii kinematografii. A pan jak uważa?

– To także nie jest przedmiotem dochodzenia – wymamrotał Konieczny i przeszedł do tematu, w którym czuł się pewniej. – Gdzie pan był w chwili, kiedy pan Straszny wyszedł się przejść i utonął w bagnie?

– Zaginął mi gdzieś fragment kostiumu – wyjaśnił upiór. – A konkretnie szczęka. Nie chciałem mówić reżyserce ani tej producentce i sam wybrałem się na poszukiwania. Niestety nie znalazłem. Nie sądzi pan, że mógłbym grać własną szczęką? – I wyszczerzył się w diabolicznym uśmiechu.

Rozdział 22

Burmistrz Trupik wyglądał na najszcześniejszego człowieka na świecie. Był w swoim żywiole, rzucając polecenia do gromady ludzi uwijających się przy dekoracjach, które miały rozstawić miasto, a krawat idealnie kontrastował mu z koszulą. W równie doskonałych nastrojach byli członkowie ekipy filmowej. Podobnie jak Władek, który właśnie przesuwając się na czworakach wzdłuż ściany chaty, zaopatrzony w wielką lupę. Właściwie tylko Konieczny nie przebywał w krainie wiecznej szczęśliwości. Gdyby wzrok mógł zabijać, Władek byłby kolejnym trupem na grzędzawisku.

– Natychmiast wstań! – zirytował się aspirant. – Co ty wyprawiasz?!

– Melduję, że demonstrowałem metody pracy operacyjnej na użytek produkcji filmowej – zameldował podkomendny, podrywając się na baczność.

– Polska policja nie używa lupy, czołgając się na kolanach! – wrzasnął Konieczny.

– Melduję posłusznie, że pan aspirant posuwał się w analogiczny sposób w sprawie Benzyniarza z Barczewa – zaraportował Władek.

– Wyłącznie dlatego, że psy tropiące zostały oddelegowane na mecz piłkarski. Podjąłem więc czynności organoleptyczne, mające na celu wyprofilowanie śladów przestępcy i określenie przebiegu drogi ucieczki z miejsca przestępstwa znaczonej etyliną dziewięćdziesiąt pięć – odparł Konieczny z godnością. – Czynności takie są jednak wykonywane w sytuacjach wyższej konieczności, gdy brakuje odpowiedniej aparatury bądź szkolonego psa służbowego.

– Czyli tak jak dziś – skwitował Władek.

– Widownia filmu mogłaby mylnie sądzić, że praca polskiej policji na co dzień polega na tego typu organoleptycznych ustaleniach – uściślił Konieczny.

– Ale przecież tak właśnie jest. – Władek wytrzeszczył oczy, najwyraźniej szczerze zdumiony.

– Może sam pan zademonstruje – zachęciła aspiranta Jagoda Szrama. – Przejdzie pan wzdłuż domu, opowiadając o badaniu śladów.

Niekiedy w życiu człowieka chęć, by coś zrobić, zderza się z niechęcią i wyraz twarzy aspiranta świadczył, że taki moment właśnie nastąpił.

– Policjant musi dokładnie zbadać dostępne ślady za pomocą urządzeń, które aktualnie posiada – wyjaśnił z namaszczeniem Konieczny, przesuwając się wzdłuż ściany. – Inspektor Wąski mawia: „Nawet najdrobniejszy i pozornie niezwiązany ze sprawą ślad może rzucić nowe światło na rozwiązanie zagadki”. Niczego nie wolno pomijać.

– Mamy tu pustą butelkę po wiśniówce – zwróciła uwagę Jagoda Szrama.

– Pominiemy ten ślad. On nie jest przedmiotem dochodzenia – uznał Konieczny.

– A wypalone papierosy? – zainteresowała się reżyserka.

– Też nieistotne.

– O, a tam, na skraju bagna, leży kawałek bandaża.

– To nas nie interesuje! – zirytował się aspirant.

– Więc jakie mamy ślady? – zapytała Szrama.

– Bardzo różne. – Policjant łypnął na mnie z rozpaczą. – Nieuchronnie zbliża się chwila, gdy morderca zostanie ujawniony.

– Potrzebuję jeszcze ujęcia z mokrądem – wtrąciła reżyserka.

– Wykluczone – zaprotestował Konieczny.

– Ja chętnie – rozpromienił się Władek.

Jego szef zawahał się chwilę i w końcu machnął ręką. Kiedy odeszli, był cały zlany potem.

– Pani Lucjo, inspektor Wąski będzie na dworcu za pół godziny.

– Może się spóźni – pocieszyłam go.

– On nigdy się nie spóźnia. – Spojrzał na mnie z potępieniem.

– Ale pociągi owszem – wyjaśniłam.

Konieczny z nadzieją zajrzał do komórki.

– Niestety, ten jest punktualny. Być może jednak inspektor Wąski kogoś zatrzymał i to da nam trochę czasu. On uwielbia podróże pociągami. Mawia, że może wtedy wysłuchać, czego pragną ludzie.

– I czego pragną?

– Dojechać bezpiecznie do celu, a my, jako polska policja, mamy im to umożliwić. Inspektor Wąski twierdzi, że uważna obserwacja jest prewencją. Wie pani, w jaki sposób schwytał Odurzacza z InterCity?

– Nie mam pojęcia. – Rozłożyłam ręce.

– Otóż kiedy udawał się na zasłużony odpoczynek na Hel, uderzyło go, że jeden z pasażerów często otwiera plecak, sięgając po kanapkę z jajkiem.

– Wielu pasażerów tak robi, niestety.

– Ów konkretny Odurzacz oprócz kanapek z jajkiem miał w plecaku maskę przeciwgazową. Ten fakt zwrócił uwagę inspektora Wąskiego. Po cóż ktoś zabierałby na Hel maskę przeciwgazową?

– Zapewne, żeby odurzyć gazem współpasażerów.

– Otóż to, pani Lucjo. – Konieczny zmierzył mnie spojrzeniem. – Czy już wspominałem, że po odpowiednim szkoleniu byłaby pani dobrą policjantką?

– Kilka razy.

– Gdy Odurzacz udał się do toalety, inspektor zatkał jego maskę własnymi skarpetkami. Proszę sobie wyobrazić, że kiedy przestępca wypuścił gaz, sam stracił przytomność i został przewieziony przez inspektora na lokalny posterunek. Wielu pasażerów było pod wrażeniem.

– Nie wątpię.

Usłyszałam skrzypnięcie drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam Czachę stojącego na progu chaty. Też był w doskonałym nastroju.

– Wszystko załatwione! Nawet poczekalnię odmalowaliśmy. Jest też kąpielica dla dzieci i ekspres do kawy dla interesantów.

– Pozostało tylko przywiezienie inspektora Wąskiego z dworca. – Uśmiechnęłam się.

– On... tego oczekuje? – Mężczyzna przełknął ślinę.

– Kiedy odwiedził Międzyzdroje, był bardzo rozczarowany faktem, że lokalny posterunek zignorował jego przyjazd – westchnął Konieczny. – Miejscowy komendant po miesiącu dostał przeniesienie do Kostomłotów.

– Nigdy nie słyszałem o tej miejscowości. Gdzie to jest? – zadumał się Czacha.

– Nikt tego nie wie.

– To już leć. – Czachowski odwrócił się na pięcie. – Wezwę wszystkie radiowozy i pojedziemy przez miasto na sygnale.

– Moment! – Aspirant podniósł rękę. – Kiedy inspektor Wąski zawitał do Augustowa, miejscowy komendant postanowił odebrać go z dworca luksusową limuzyną w asyście motocyklistów.

– I co się stało? – zapytał Czacha drżącym głosem.

– Inspektor Wąski nienawidzi patosu i zadęcia – wyjaśnił Konieczny. – Traf chciał, że miesiąc później komendant został przeniesiony do Wilczego Dołu.

– A to gdzie jest?

– Tego również nikt nie wie. – Aspirant smutno pokiwał głową. – Zdaje się, że kroplą przepelniającą czarę była wystawa na komendzie w Augustowie: *Najstynniejsze sprawy inspektora Wąskiego*. Inspektor Wąski jest bowiem człowiekiem skromnym i nie znosi przepychu i rozgłosu. Mawia, że zadowolony się byle czym. Z tym że oczywiście to byle co musi być na odpowiednim poziomie.

– To co robić? – wyszeptał przerażony Czacha i otarł spocone czoło.

– Sugerowałabym jeden radiowóz – wtrąciłam. – Prowadzony przez pana osobiście. I może jeszcze dwóch policjantów po cywilnemu, którzy, całkowicie przypadkowo, przechodziliby przez dworzec akurat w chwili przyjazdu pociągu inspektora i, całkowicie przypadkowo i spontanicznie, zaoferowali pani inspektorowej Wąskiej pomoc z walizkami. Taki drobny, niezobowiązujący i całkiem niezaplanowany gest.

– Miło by też było – dorzucił Konieczny – gdyby byli dobrze ubrani. Inspektor zwraca uwagę na detale. Odchodząc, mogliby również pomóc jakiejś staruszce z bagażami.

– Oczywiście, oczywiście. Znam nawet odpowiednią staruszkę – oświadczył Czacha i ruszył do wyjścia. Wyciągnął komórkę i rzucił do kogoś po drugiej stronie linii: – Ściągajcie te zdjęcia i całą gazetkę. Tak, transparent przed wejściem do komendy również.

– Udało się. – Uśmiechnęłam się do Koniecznego.

Aspirant przez chwilę wyglądał, jakby chciał przybić ze mną piątkę, ale zaraz zrobił zbolalą minę.

– Tak czy inaczej już po mnie – westchnął. – Nie mamy najmniejszego pojęcia, kto zabił Błażeja Straszego.

Wolałabym, żeby użył liczby pojedynczej. Ja bowiem miałam pojęcie, i to nie najmniejsze.

Rozdział 23

Znacie to uczucie beznadziei i nadciągającego fatum? Tak mniej więcej wyglądał aspirant Konieczny w oczekiwaniu na nieuchronne, czyli pojawienie się inspektora Wąskiego.

– Ja bym ich wszystkich zamknął, każdy ma motyw, nikt nie ma alibi – mruknął, obserwując ludzi biegnących za oknem, rozmawiających przez komórki i załatwiających swoje sprawy.

– Świetne! – rozległ się z offu głos Jagody Szramy, a aspirant aż podskoczył.

– To znowu pani?

– Cały czas kręcę – zapewniła reżyserka, wciśnięta między starą kuchnię a drewniany filar.

– To się wytnie – zapowiedział surowo Konieczny.

– Potrzebuję sceny zbiorowej – oznajmiła Szrama. – Wszyscy uczestnicy gromadzą się w chatce. Rozpoczyna się dyskusja, kto mógł być mordercą. Wreszcie jedna z osób rzuca: „Tak, to ja zabiłem”. Cięcie.

– Tylko że mordercy nie mają takiego zwyczaju – jęknął Konieczny. – Nie przyznają się, w dodatku jeszcze podczas filmowania. Jeśli w ogóle, to dopiero po długotrwałym przesłuchaniu i przedstawieniu dowodów.

– Ale to doskonale wypadnie na tle całosci – przekonywała reżyserka. – Zderzenie różnych postaw egzystencjalnych i konfrontacja z prawdą. Panie Władku! – Wychyliła się przez okno. – Niech pan zawoła wszystkich do chaty!

Policjant wypełnił polecenie i po chwili niewielka izba była już pełna. Podejrzani nie mieli gdzie usiąść, nie mogli nawet podpierać ścian, bo przy najlżejszym dotknięciu odpadały z nich płyty tynku. Przyjmowali więc rozmaite pozy na środku chaty. Wyglądali na znudzonych, zmęczonych i zmarzniętych, ale na żadnej twarzy nie malowała się skrucha, która mogłaby wskazać mordercę. Brakowało tylko...

– A, tu są wszyscy. – Do chatki zajrzała Beata Muerte z telefonem przy uchu. – Jeśli chodzi o plan w Walencji, to teraz nie zwracaj mi głowy – mówiła dalej do aparatu. – Do Słowenii będę potrzebowała dodatkowego smoka. Te dwa, które masz, zwolnij. A tutaj mam problem z upiorem. Wybijałe ego i w dodatku wciąż gubi kostium.

Odłożyła komórkę i uśmiechnęła się do Koniecznego.

– Interesy – wyjaśniła. – Ma pan już podejrzanego?

– Od aresztowania dzielą nas zaledwie minuty. – Aspirant nadął się nieco.

– Znakomicie – ucieszyła się Muerte. – Można by go dokonać jeszcze dzisiaj? Chciałabym też wezwać ekipę techniczną, która wyciągnie zwłoki z bagna.

– Są w drodze.

– Doskonale. I żeby przyjechał ten główny inspektor – dodała Beata Muerte. – Jak mu tam?

– Wąski – szepnął Konieczny.

– Pan zagra jego podwładnego. Będzie się pan go obawiał, może pan powtarzać, że na pewno pana zwolni albo zamknie. Coś takiego, co wzmagałoby napięcie – wyjaśniła Beata Muerte. – W filmie chodzi o stawkę. Widzowie chętniej dotrważą do końca, jeśli będą się zastanawiać, czy się panu udało, czy pana zwolnili. Do tego mógłby dojść jakiś wątek osobisty. – Zamyśliła się.

– Policjanci boją się zakończyć śledztwo, bo żony znowu każą im iść do spa i leżeć w błocie – odpowiedziałam.

Beata Muerte zmarszczyła brwi.

– Z całym szacunkiem, pani Lucjo, ale to mało wiarygodne, żeby policjant unikał pójścia z żoną do spa. Gliny to twardziele. Chociaż... Gdyby tym razem wystąpił policjant metroseksualny, pełen obaw i lęków... To mogłoby się spodobać.

– Metro co? – zdumiał się Władek.

Producentka obdarzyła go uśmiechem.

– Panowie zagrają tak, żeby było widać strach przed tym nadjeżdżającym inspektorem i przed żonami, które pragną bliskości w spa. A ja sprawdzę, co z upiorem. Mam go po dziurki w nosie. Gigantyczna gaża, fochy i w dodatku zepsuł kostium.

Czy myślicie, że powiedzenie „o wilku mowa” brzmiałoby dobrze w wersji „o upiorze mowa”? Bo kiedy tylko przebrzmiały jej słowa, upiór wpadł do chaty i zaczął się rozglądać po kątach.

– Widział ktoś moją szczękę?

– Znalazłem fragment pleców – odezwał się Jakub Blizna.

– A my mamy chyba kawałek głowy. – Burmistrz Trupik skinął na asystentkę, która wyciągnęła coś z torebki. – A nie, to kawał jakiegoś starego talerza.

– Szczęka zapewne została tam, gdzie ją pan zgubił – podsunęłam.

– Tyle to ja sam wiem – burknął upiór.

Może gdyby był bardziej uprzejmy, nie powiedziałabym tego, co potem powiedziałam. A powiedziałam:

– Czyli przy tyczce, którą przesunął pan w głąb bagna, żeby zwieść Błażeja Straszego i go utopić.

W chatce nagle zapadła cisza i wszystkie oczy zwróciły się na upiora.

– To ty? – zdumiała się Marcelina.

Upiór wziął głęboki wdech (odpadł mu przy tym kawałek skóry z szyi) i wyznał:

– To wszystko dla ciebie, Marcelinko. Nie mogłem patrzeć, jak marnujesz się przy tym beztalenciu. Kiedy graliśmy razem sceny miłosne, czułem, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Wiedziałem, że gdy tylko usunę z drogi tego grafomana, połączymy się na zawsze. Powiedz, że ty też to czujesz!

– O tak! – zawołała Marcelina. I padli sobie w objęcia.

– Wiedziałem, że to on! – ucieszył się Władek. – Dziadzio zawsze mówił: „Nie ufaj upirowi, na manowce cię wyprowadzi”. I wyszło na jego.

– Cięcie! – zawołała Jagoda Szrama. – To było znakomite.

– Można by powtórzyć – zawahała się Beata Muerte.

– Może mógłby pan wyjaśnić, o co chodziło z tą wiadomością „przeminęło z wiatrem”? – zaciekała się Szrama.

– Och, Straszny cały czas powtarzał, że jego związek z Marceliną to takie niekończące się *Przeminęło z wiatrem* – odparł upiór. – Że Marcelina to Scarlett, a on to Rhett Butler. Marcelinka to oczywiście rozumie, ale on, że niby Clark Gable? To ja mam prawdziwy talent! To przy mnie Marcelinka ma szansę rozwinąć się aktorsko.

– Cięcie! – zawołała reżyserka i zmarszczyła czoło. – A nie lepiej dać inny tytuł? Coś bardziej egzystencjalnego? *Z Różewicza* lub *Becketta*?

– Niech zostanie *Przeminęło z wiatrem* – zdecydowała Beata Muerte. – Egzystencjalizm się nie sprzedaje.

Konieczny obserwował to wszystko, a jego twarz przybierała powoli coraz ciemniejszy odcień piwonii.

– Cisza! – krzyknął wreszcie. A kiedy wszyscy umilkli, poinformował upiora: – Jest pan aresztowany. Władek, odczytaj mu prawa.

– Moment. – Do podkomendnego podbiegła Potworowska. – Poprawię panu makijaż.

Aspirant nie zdążył dostać ataku apopleksji, bo piknęła mu komórka. Odczytał wiadomość i lekko zbladł.

– To Czachowski. Już tu jadą z inspektorem Wąskim – szepnął do mnie. – Pani Lucjo, błagam, niech pani powie, skąd pani wiedziała, że szczęka jest przy tyczce? Przecież to za daleko, stąd nie widać.

– Nie wiedziałam – wyjaśniłam. – To był blef.

– Blef? – Koniecznego zatkało.

– Z pewnością ekipa techniczna znajdzie na miejscu zbrodni jakieś fragmenty przebrania upiora. Czy akurat szczękę, tego nie wiem – wyjaśniłam. – Ważne, że on myśli, że my wiemy, i się przyznał.

Konieczny pokiwał w zamyśleniu głową.

– A wie pani, blef jest też ulubionym chwytem inspektora Wąskiego. Podczas sprawy Kasiarza z Zaułka Śląskiego inspektor zablefował, że wie, gdzie przestępca ukrył narzędzia do prucia kas. I ten przyznał się do wszystkiego.

Zerknął na zegarek i zbladł jeszcze bardziej niż na myśl o zbliżającym się inspektorze Wąskim.

– Do której czynne jest to spa? – zapytał. – Bo mnie się wydaje, że do dwudziestej drugiej. To jeszcze cztery godziny. Mojej żonie nie da się przetłumaczyć, że tyle czasu trwa spisywanie protokołu. Pani Lucjo, nie ma pani przypadkiem pod ręką innego trupa?

– Niestety nie tym razem. – Pokręciłam głową.

– To było znakomite. – Beata Muerte uśmiechnęła się tymczasem do Władka, który, świeżo upudrowany, skończył odczytywać upiorowi jego prawa. – Może jeszcze jakaś kwestia o tym wujku?

– Dziadziu – uściślił Władek.

– Może być – zgodziła się producentka. – To bardzo ożywia przekaz. I jednocześnie pozwala odróżnić policjantów. Jeden jest logiczny i agnostyczny, a drugi ludyczny i przesądny.

– To ja będę tym logicznym – ucieszył się Władek. – Dziadzio zawsze powtarzał, że z upiorem nie wygrasz siłą, tylko logiką. I jak raz wymyślił, że upiora ze stawu wywabi i wodą święconą pokropi, tak zrobił. „Wszystko, wnusiu, na logikę”, mówił mi.

– Znakomite! – Beata Muerte klasnęła w dłonie. – Świetnie to panowie zagrali. I proszę dodać jeszcze coś o tym inspektorze.

– Będzie tu za pół godziny – powiedział Władek. – Ale nas nie zamknie. Bo my zamknęliśmy upiora. Logiczne.

– Myślę, że przed panem mnóstwo nagrań – pocieszyłam Koniecznego. – Na pewno po skończeniu zdjęć spa będzie już zamknięte.

Wysłałam przed chatkę i ruszyłam w stronę parkingu. Wiał lodowaty wiatr. Z radia zaparkowanego busa robotników leciały już kolędy, choć do Bożego Narodzenia zostały prawie dwa miesiące.

Zadzwoeniła moja komórka. Nieznany numer. Standard.

– Pani Łucja Slotka? – zapytał kobiecy głos.

– Lucja – poprawiłam.

– Jest pani wolna przed świętami? Miałabym zlecenie.

– Słucham – zachęciłam głos.

– Otóż trzeba przygotować tradycyjną polską rodzinną wigilię.

– Rozumiem. Czy to już wszystko?

– W zasadzie tak, tylko dla nietypowej rodziny. Chodzi o rodzinę influencerów i youtuberów. Jestem ich menedżerką. To znaczy oni nie są spokrewnieni, ale w social mediach przedstawiamy ich jako jedną wielką rodzinę: ciepłe uczucia, wspólne fotki, rozumie pani.

– Czy to już wszystko?

– W zasadzie tak, tyle że święta mają być tradycyjne, pełne białego puchu, miłości, prezentów, pieczenia ciast i kolęd. A ci influencerzy i youtuberzy nie mają o tym wszystkim

pojęcia. Oni nawet wody na herbatę nie potrafią zagotować.

– Czy to już wszystko?

– A poza tym, jak by to ująć... Trochę się nie lubią.

– Trochę?

– Bardziej niż trochę. Jeden wysadził kumplowi samochód w powietrze. Nikomu nic się nie stało. Przedstawiliśmy to jako zamierzone działanie, ale niesmak pozostał.

– Rozumiem – powiedziałam. – To już na pewno wszystko?

– Tak. Czy to pani nie przerasta?

W życiu nie słyszałam głupszego pytania. To było zadanie w sam raz dla Lucji Słotkiej, Home Disaster Manager.

KONIEC

Lucja Słotka powróci w tomie

Influencerka, która spadła ze schodów